



Janusz Gołda

# Klasztor

**D**zień zmierzał powoli ku swojemu końcowi.

Czerwone słońce staczało się w nieprzeniknioną puszcę i tylko miejsce, w którym miało się zapaść ostatecznie, rozpało się na chwilę jaśniejszym płomieniem, lecz wkrótce także ono zaczęło przygasać, płowieć, blaknąć. Upalne powietrze, duszne i lepkie, nieporuszone za dnia najmniejszym powiewem wiatru, stało takie nadal nad ziemią pomimo nadciągającego wieczoru. Od nadrzecznych bagien niosło się gardłowe rechotanie żab, zaś od południa wypełzła na nieboskłon czarna chmura i podświetlana raz po raz błyskawicami sunęła niepowstrzymanie w stronę wzgórze, na którym widać było zabudowania klasztoru.

Kilkunastoletni chłopiec, skromnego wzrostu i delikatnej budowy ciała, o gładkiej dziewczęcej twarzy i bystrych migdałowych oczach, spoglądał z niepokojem na nadciągającą chmurę, potem obrzucał szybkim spojrzeniem idącego za nim zakonnika i zachęcał go do pospiechu roztaczając przed nim obraz wielkiego niebezpieczeństwa, w jakim się znajdują, jeżeli będą ociągali się w marszu.

Podążający za chłopcem wysoki, kościsty mnich o śniadej skórze i pociągłej twarzy okolonej siwym zarostem, ubrany w krótką opończę z kapturem, jeszcze w sile wieku, lecz już nie taki sprawny fizycznie i dziarski jak jego młodziutki towarzysz, patrzył spod krzaczastych brwi na ponaglącego go chłopca, uśmiechał się pobłaźliwie, przystawał co jakiś czas, opierał się na pątniczym kiju i spoglądał z niechęcią na klasztor, który stał na górującym ponad całą okolicą wzniesieniu.

— Chodźmy, mistrzu Symeonie, chodźmy — zachęcał i popędzał równocześnie opieszalego mnicha chłopiec powołując się na niebezpieczeństwo, jakie grozi im ze strony nadciągającej burzy, to znowu na reprimendy opata, jakie spadną na niego, jeżeli zaniedba się w swoich obowiązkach, a w rzeczywistości zaniepokojony raportem, który musiał zdać opatowi z kończącej się właśnie podróży, gdy tymczasem z powodu rozgardiaszu, braku czasu, również własnego lenistwa, nie zdążył przemyśleć niezbędnych szczegółów swojego sprawozdania, więc bał się, że jego relacja będzie chaotyczna, niespójna i może zostać przez opata źle rozumiana. — Będzie bieda. Będzie, jak mi Bóg miły — powtarzał w kółko zrozpaczony chłopiec.

— *Rex locuta, causa finita*<sup>1</sup> — powiedział mistrz Symeon tracąc cierpliwość z powodu nieustannych ponagleń chłopca.

— *Suus cuique mos est*<sup>2</sup> — padła z ust chłopca błyskawiczna odpowiedź.

— Szybko się uczysz, mój strózu — odparł z podziwem mnich.

— Nietrudno jest się nauczyć, kiedy ma się nóż na gardle — burknął chłopiec i poczerwieniał.

W oczach mistrza Symeona błysnął ogień zaciekawienia, lecz momentalnie zgasł przysłonięty zmrużonymi powiekami mnicha.

— To prawda, chłopcze, ale kiedy ma się nóż na gardle, jak mówisz, wtedy myśli się tylko o nożu.

— Są wyjątki, mistrzu.

— Oczywiście, że są. W tym względzie masz rację, drogi chłopcze — przyznał zakonnik — bo czymże, w gruncie rzeczy, jest niebezpieczeństwo, które znamy,

---

1 król przemówił, sprawa skończona (łac.)

2 każdy ma swój zwyczaj (łac.)

wobec nieznanego nam. Strachem o siebie. Strachem przed tym, co nas dotyka i przed czym nie uciekniemy. Bo jeżeli człowiek, który jest księciem, ale w oczach innych chce uchodzić już za króla, chociaż *res non iudicata pro veritate habetur*<sup>1</sup>, to czy taki człowiek...

— Mistrzu — syknął chłopiec, przyłożył palec do warg, porozglądał się wokoło i dodał przyciszonym głosem. — Tutaj nawet trawa ma uszy.

— I język — mruknął mistrz Symeon.

— I język — powtórzył bezwiednie chłopiec, przeżegnał się i splunął przez ramię.

Na twarzy mistrza Symeona pojawiło się rozbawienie.

— Moje zachowanie nie jest godne sukienki, jaką noszę. Wiem o tym, mistrzu — powiedział speszony chłopiec — ale uczyniłem to...

— Ze strachu — odpowiedział mu mistrz Symeon.

— Z ostrożności — zaprotestował chłopiec.

— Ze strachu, który nazywasz ostrożnością.

— A czy ja się wypieram, że się boję? — chłopiec zatrzymał się i spojrzał z wyrzutem na zakonnik. — Oczywiście, że się boję — powiedział i ruszył dalej mówiąc: — Ja boję się tak, jak boi się każdy normalny człowiek, więc czemu miałbym temu zaprzeczać. Strach jest towarzyszem każdego stworzenia na tym świecie, więc dlaczego miałby nie być moim? A że jestem ostrożny?... W tym kraju nawet trawa jest ostrożna.

— I zapewne dlatego, mój Adalbercie, ona również ma uszy — sarknął zakonnik.

Chłopiec przygryzł wargi, rzucił zakonnikowi niechętnie spojrzenie i westchnął jak ktoś, kogo szczerze zamiary zostały zrozumiane opacznie. Więcej nawet, komu się nie ufa i komu nie pozostaje nic innego, jak pogodzić się z krzywdzącym go osądem. Grzyb! Próchno! Przybłęda! —

---

1 sprawę nierozsądzoną nie uważa się za rozstrzygniętą

wołała w chłopcu rozzalona dusza. Kim ty jesteś do diabła, że muszę ciebie znosić, myślał chłopiec, a doznane upokorzenie jeszcze bardziej potęgowało jego niechęć do zakonnika. Kim ty jesteś u diabła, że muszę śledzić twoje kroki? Pamiętać wypowiedziane przez ciebie słowa. Wiedzieć, jakim tonem je wypowiedziałeś, jakby od ich brzmienia zależały losy świata. Kim ty jesteś kupo gnatów okryta skórą pozoru, nieróżniącą się w niczym od pergaminu, na którym stawiasz swoje czarne znaki? Kim ty jesteś, że muszę wiedzieć, czym napychasz przy-schnięty do kręgosłupa kałdun? Wsłuchiwać się w twój oddech, twoje starcze rżenia i postękiwania. Kim ty jesteś u diabła, że twoją krnąbrność traktuje się pobłażliwie, z uśmiechem zażenowania na twarzy? Że jesteś wysłuchiwany, hołubiony, nagradzany a mnie, za moją uległość, wierność i posłuszeństwo, traktuje się jak zaprzańca. Kimże jesteś do diabła, że opat patrzy na ciebie z zakłopotaniem? Wysłuchuje twoich słów w skupieniu, z przejęciem, jakbyś głosił prawdy ostateczne. Że nie ciągnie ciebie za język. Nie obnaża twoich myśli. Nie drwi z ciebie i nie ośmiesza, tylko uśmiecha się i grzecznie ci przytakuje. A ja — powiedział głośno chłopiec, przeraził się swoich słów, obejrzał się za siebie i kiedy zorientował się, że zakonnik nie usłyszał go, odetchnął z ulgą, skręcił z traktu w lewo i wszedł na ledwie widoczną wśród wysokich traw ścieżkę, która prowadziła do znanej mu tajemnej furty w południowym murze klasztoru.

Skrót ten znało niewiele, ponieważ niełatwo było go dostrzec wśród traw i zarośli, ponadto trudny był do pokonania nawet dla zaprawionych w marszu piechurów, dlatego też rzadko go używano. Ścieżka zaraz za brodem na rzece skręcała w lewo, przedzierała się przez tarninę, wiła się jak wąż wśród wysokich traw, a kiedy wydostała się na błonia, urzeczona bliskością celu rzucała się

przed siebie, prosto jak strzełił, nie zważając, że ma do pokonania strome, prawie pionowe urwisko, które powstało wskutek osunięcia się ziemi spowodowanego przez długotrwałe deszcze. Żeby pokonać ową stromiznę, trzeba było wspinać się mozolnie po wkopanych w zboczach płaskich kamieniach do niewielkiej platformy przy południowym murze klasztoru. Stąd, od ukrytej w murze sekretnej furty, dzielił strudzonego wędrowca przysłowiowy żabi skok.

Mnisi przeszli przez nadrzeczne błonia, przebili się przez splątana tarninę i zachęteni do pośpiechu bliskością celu, w którym po trudach podróży czekał na nich posiłek i zasłużony odpoczynek, weszli na osuwisko.

Taki już ten kraj jest, myślał z goryczą mistrz Symeon. Takim go zastałem i takim zostawię. Nic go nie zmieni i nikt go nie odmieni. Tysiące czujnych uszu i tysiące stulonych w szepcie warg. Kraj czujnych uszu i usłużnych warg. Ucho i wargę, a pomiędzy nimi przestrzeń wypełniona tym nieustannym szy szy szy... Grube, napęczniałe plotką i pomówieniami uslužne wargule karmiące nimi chciwe, nigdy nienasycone uszy. Tylko te uszy i te ryjki, w tym nigdy niekończącym się szy szy szy. I jeszcze ta przestrzeń pomiędzy nimi. Niewidoczna gołym okiem, lecz realna, dająca się bez trudu wymierzyć. Pomiedzy chciwie nadstawionym uchem a uslužną wargą mieści się cała substancja tego kraju. Książęcy diadem, królewska korona, biskupi pallium<sup>1</sup>, purpura<sup>2</sup>, wydłubane oczy, wyrwane języki, odcięte ręce, odrąbane głowy, poćwiartowane ciała, zdrady, podstępny, oszustwa i krew. Wszędzie krew. To niewiarygodne, myślał rozgorączkowany zakonnik, z jaką łatwością wszystko to mieści się pomiędzy ludzkim uchem a wargą.

---

1 płaszcz

2 tu: oznaka godności

Mnisi weszli na osuwisko.

Adalbert parł przed siebie nie zwracając uwagi na swojego towarzysza.

Mistrz Symeon szedł powoli. Zakonnik nie ufał chybottliwym stopniom z piaskowca wetkniętym byle jak w strome zbocze góry. Oddychał z trudem. Twarz poczerwieniała mu z wysiłku. Żyły na czole nabrzmiały mu jak powrozy. Krople potu staczały się po kościstych policzkach na chudą szyję i ginęły pod jego zgrzebną koszulą. Zdyszany przystawał raz po raz dla złapania tchu, ogarniał niechętnym spojrzeniem zabudowania klasztoru, wzdychał ciężko i z ociąganiem ruszał dalej.

W połowie urwiska zatrzymał się i usiadł na kamiennym stopniu. Złe myśli szarpały go niczym harpie<sup>1</sup>. Położył się na ziemi na wznak z rozrzuconymi szeroko rękami, z wzrokiem utkwionym w ciemniejącym niebie i leżał poddając się nastrojowi chwili a wszystko, tak dla niego do niedawna jeszcze ważne, straciło nagle swoje znaczenie stając mu się odległe, obojętne, wręcz obce.

Po chwili gorzkich rozmyślań zakonnik otrząsnął się z przygnębienia, podniósł się z ziemi, pokonał najbardziej stromy odcinek ścieżki i ostatkiem sił dowlókł się do chłopca, który czekał przy furcie przestępując z nogi na nogę.

Adalbert uderzył trzykrotnie pięścią w furtę, odczekał chwilę, po czym jeszcze raz, tym razem mocniej, zastukał ponownie. Furta uchyliła się z cichym, ledwie słyszalnym skrzypieniem zawiasów. Obaj mnisi, mijając bez słowa stojącego przy wejściu brata furtiana, weszli na tonący w wieczornych półcieniach klasztorny dziedzi-  
niec.

---

1 kobiety ptaki (mit)

Adalbert stał przed celą opata.

Serce tłukło się w piersi chłopca jak oszalałe. Twarz go paliła. W uszach mu szumiało. W głowie miał pustkę. Jego kunsztowny plan budowany pośpiesznie podczas ostatnich dni podróży runął w jednej chwili niczym licha palisada<sup>1</sup>.

Chłopiec uderzył kołatką w żelazny trzpień i czekał na znany sobie z wcześniejszych wizyt zgrzyt otwieranych drzwi.

Zdarzało się, że drzwi do celi opata otwierały się, kiedy tylko Adalbert uderzył kołatką w żelazny trzpień. Bywało również tak, że chłopiec musiał czekać, ponieważ drzwi otwierały się przed nim wtedy, gdy opat był u siebie sam, nie licząc investigatora<sup>2</sup> ojca Hiacynta, zaufanego opata, garbatego zakonnika o nieufnym spojrzeniu, niemowę od dziecka, przyjętego do klasztoru na długo przed przybyciem Adalberta, posługującego się w rozmowach z braćmi krótkimi ruchami rąk, które przypominały rwane niepełne wypowiedzi zniecierpliwionego rozmówcy.

Adalbert zamknął oczy i czekał z dłonią na kołatce, czując przenikliwy chłód metalu, od którego zaczęły drętwieć mu palce. Nie odstępował jednak od drzwi. Był pewny, że zostaną otwarte. Może za chwilę. Może za kilka chwil. Może dopiero po długim oczekiwaniu. Lecz kiedy już zakołatało się w drzwi opata, należało pod nimi czekać dopóty, dopóki ich kołatającemu nie otwarto.

Z odrętwienia wyrwał Adalberta podmuch, który chłopiec poczuł na swojej twarzy. Adalbert znał ten ledwie wyczuwalny powiew powietrza spowodowany otwarciem drzwi wejściowych i zbiegający się w czasie z zamykaniem drzwi sekretnych, ukrytych w ścianie za

---

1 ogrodzenie obronne z drewnianych pali

2 zakonnik zapisujący wykroczenia braci



kolorowym kilimem, który często po wejściu chłopca do celi opata ciągle jeszcze falował poruszony pośpiesznym odejściem tajemniczego gościa.

Chłopiec wszedł do celi omijając zgrabnym ruchem stojącego w drzwiach ojca Hiacynta, obrzucił dyskretnym spojrzeniem kilim, zatrzymał się na środku pomieszczenia i czekał, aż opat odprawi investigatora, by, kiedy i ten zniknie za kilimem, mógł zdać ojcu przełożonemu szczegółowy raport ze swojej podróży.

Czekał jednak daremnie. Opat wbrew swojemu zwyczajowi nie polecił ojcu Hiacyntowi opuścić celi, lecz wskazał mu jednoznaczny ruchem ręki ławę pod oknem, z którego przez okrągłe grube szybki sączyło się skąpe światło kończącego się dnia, jednak na tyle jeszcze ostre, że raziło w oczy sprawiając, iż spoglądający w tamtym kierunku Adalbert widział jedynie niewyraźny, przymglony kontur ludzkiej sylwetki.

— Zapewne masz dla mnie wiadomości od ojca Damazego — powiedział opat, skrzyżował ręce na piersi i mierząc chłopca badawczym spojrzeniem starał się przyjętą na poczekaniu niedbałą pozą ukryć przed Adalbertem swoje rozdrażnienie.

— Mówiłeś ojcie, że natychmiast, bez czekania, nawet, kiedy sprawa nie jest ważna. A przecież ja nie wiem, jaka ona jest. Czy pilna i nagła, czy też może poczekać, bowiem nie mnie rozsądzać o jej ważności, kiedy ani wiedzy o niej nie mam, ani rozeznania w niej, jedynie jej przynoszeniem się zajmuję, służąc tym samym, jak najlepiej potrafię i sprawie, i wspólnemu pożytkowi — mówił Adalbert szybko, chaotycznie, starając się upewnić opata w przekonaniu, że nie zauważył zamieszania, jakie sprawił swoim wejściem do celi, a jego przybycie ma związek wyłącznie ze spełnieniem ciężącego na nim obowiązku, jaki opat nałożył na niego wyprawiając go u boku

mistrza Symeona w podróż, która dobiegła właśnie końca.

— Nie kłopotz się chłopcze tym, co postawiono ponad twoim rozumem — przerwał chłopcu opat porażony gramatyczną nieudolnością Adalberta, zdegustowany jego rozumowaniem i jednocześnie zaniepokojony wypowiedzią chłopca, która wprawiała go w lekki popłoch, że oto ten skromny, wystraszony chłopiec o niepozornej posturze, nie jest wobec niego szczerzy i nie przekazuje mu wszystkiego, co wie, że jakąś cząstkę wiadomości, może nawet tą najistotniejszą, zatrzymuje dla siebie traktując ją, jako swoje zabezpieczenie na przyszłość lub, co gorsza, dzieli się nią z kimś trzecim.

Adalbert milczał. Powinien sięgnąć pod koszulę, wyciągnąć listy ojca Damazego i przekazać je opatowi. Nie uczynił jednak tego. Nie chciał tym gestem utwierdzić ojca przełożonego w jego niepewnych jeszcze podejrzeniach. Skąd bowiem chłopiec miał wiedzieć, że już tak jest, skoro nic nie wskazywało na to, że bracia donoszą do opata o każdym jego kroku, przeinaczają jego żarty, uwagi, rzucane mimochodem półsłówka, że interpretują wedle własnego uznania jego gesty i miny towarzyszące wypowiedzianym przez niego kwestiom, i to nie tylko te publiczne, lecz również te z jego rozmów intymnych, szeptanych w wielkiej tajemnicy na ucho, do którego chłopiec miał pełne zaufanie sądząc, że nie zmieni się ono nigdy w wargi powtarzające jego słowa do innego ucha.

Wiedzę o tym, co się wokół niego działo, Adalbert miał szczątkową, opartą bardziej na własnych domysłach i przeczuciach niż zdarzeniach i faktach, snutą w chwilach własnego zwątpienia podświadomie i na podstawie obserwacji świata, w którym żył, obowiązujących w tym świecie twardych reguł i wynikających z nich konse-

kwencji, jakie ponosili ci, którzy obowiązujący porządek akceptowali, lecz z czasem przestawali go przestrzegać, mniemając, że za swoje zasługi stali się jego beneficjentami.

— A jakże tam, ojciec Damazy? — zapytał opat i zaraz dodał. — Dwie niedziele przed twoim powrotem dotarła do nas wiadomość, że musiano sprowadzać do niego z Pragi medyka.

— Plotka, ojciec przełożony — odparł Adalbert, sięgnął pośpiesznie pod koszulę, wyciągnął prostokątny pakiet owinięty w impregnowaną skórę i oddał go opatowi.

— Plotka, powiadasz — opat zrobił krótką przerwę. — A któżby ją rozsiewał i w jakim celu?

— Nie wiem.

— Nie wiesz? — powtórzył opat patrząc na chłopca z rozdrażnieniem. — A powinieneś wiedzieć — krew napłynęła opatowi do głowy uwypuklając na jego skroniach fioletowe żyłki, nozdrza mu się rozděły, oddech stał się szybki, nierówny. — Wiedza w takich sprawach jest twoim obowiązkiem — stwierdził tonem twardym, nieznośnym sprzeciwu i gdy zorientował się, że z tak błahego powodu stracił nad sobą panowanie i odkrył przed Adalbertem słabą stronę swojego charakteru, o której chłopiec nie miał prawa wiedzieć, ba! nawet jej się domyślać, opuścił głowę i żeby odwrócić uwagę chłopca od niezręcznej sytuacji, zajął się rozpakowywaniem przesyłki.

Jego zdenerwowanie sprawiało, że drżały mu ręce, palce plątały się nieporadnie a cienkie rzemyki opasujące pakiet i powiązane dodatkowo dla zabezpieczenia przesyłki w efektowne guzy stawiały mu opór nie do pokonania.

Opat spojrział błagalnie na ojca Hiacynta.

Zakonnik poderwał się z ławy i w kilku susach pokonał przestrzeń, która dzieliła go od ojca przełożonego.

Opat przed otwarciem pakietu nakazał ojcu Hiacyntowi policzyć guzy na przesyłce i sprawdzić sposób, w jaki zostały powiązane, po czym założył ręce do tyłu i począł chodzić po celi. Przystawał raz po raz, zadzierał głowę, patrzył w zamyśleniu na łukowe sklepienie lub opasywał brzuch lewym przedramieniem, opierał na nim łokieć prawej ręki, obejmował dłonią brodę, pocierał ją palcami i zastygał w bezruchu czekając, aż ojciec Hiacynt rozplącze skórzane węzły, wyciągnie z pakietu listy, położy je na stole i usiądzie pod oknem.

— Mistrz Symeon bardzo sobie chwali zarówno twoje towarzystwo jak też twoje posługi — odezwał się opat, podniósł ze stołu pismo i przyglądał się postawionej na nim lakowej pieczęci. — Mówił, żeś bardzo bystry i pojętny — pochwalił chłopca, przełamał pieczęć i rozłożył szeleszczący pergamin.

Adalbert milczał.

— Słyszałeś, co powiedziałem? — opat podniósł znad listu głowę i obrzucił chłopca szybkim, uważnym spojrzeniem.

— Słyszałem, ojcze.

— Więc czemu milczysz? — spytał opat, wrócił do listu i zaczął go czytać poruszając bezgłośnie wargami.

Adalbert zdał sobie sprawę że niewygodna sytuacja, w jakiej się znalazł, może odmienić się jedynie dzięki zbiegowi sprzyjających okoliczności. Taką szansą był list, na którym opat skupił całą swoją uwagę i czas, jaki zajęty czytaniem listu opat zostawił chłopcu na obmyślenie wiarygodnej odpowiedzi. Adalbert uczepił się tej szansy szukając gorączkowo w myślach odpowiedzi, która zadowoli ojca przełożonego. Chłopiec był pewny, że mistrz Symeon po ich powrocie do klasztoru udał się do celi na

spoczynek. Było dla niego również oczywiste, że przed jego przyjściem do ojca przełożonego z listami, malarz nie był w stanie podzielić się swoimi spostrzeżeniami z opatem, ponieważ miał na to zbyt mało czasu. Kiedy chłopiec uzmysłowił sobie, że przyszedł do opata z listami niezwłocznie, prosto z drogi, nie myjąc się i nie zmieniając odzienia, poczuł ulgę.

Adalbert był nowicjuszem. Złożył już pierwsze śluby, lecz nie przeszedł jeszcze tonsury<sup>1</sup>, więc nie miał na głowie charakterystycznego dla braci zakonnych wygolonego krążka. Przywieziono go do klasztoru kilka lat temu pod osłoną nocy w nader tajemniczych okolicznościach. Na temat jego przeszłości krążyły wśród braci rozmaite historie, zawsze niesamowite, często sprzeczne, z dopisywanymi przy każdej okazji coraz to innymi, bardziej sensacyjnymi od poprzednich wątkami i pikantniejszymi szczegółami. Nikt ich nie prostował. Ani sam Adalbert, który wydawał się być zainteresowany budowaną o sobie legendą, ani ojciec przełożony, który jako jeden z nielicznych znał prawdę, lecz nie zamierzał się nią dzielić z nikim postronnym mając na uwadze bezpieczeństwo samego chłopca, jak też ludzi, którzy byli w jego sprawę zamieszani.

Adalbert był pierworodnym synem markgraфа, władcy przygranicznej marchii, jednej z sześciu powstałych po podziale większej, z mурowanym zamkiem leżącym przy ważnym szlaku handlowym, z którego ochrony margrabia czerpał znaczne zyski. Dziedzina bogata w lasy, zasobna w dziką zwierzynę, drewno, żywicę i miód, poprzecinana rybnymi rzekami była łakomym kąskiem dla wielu sąsiadów margraфа i od lat stanowiła obiekt sąsiedzkich napięć, nieporozumień i sporów, które często kończyły się zbrojnymi najazdami, zniszczeniami, jak też

---

1 rytualne strzyżenie

nie jedną śmiercią. Pół biedy, jeżeli w trakcie najazdu ginęła służba i ludzie prości. Gorzej, jeśli zginął ktoś znaczny, bowiem wtedy jego śmierć wymagała pomśzczenia. Następował wówczas odwet równie bezwzględny i równie krwawy, przeradzający się w ciąg tragicznych zdarzeń przerywanych dopiero interwencją samego cesarza, który wymierzał winowajcom surowe kary pozbawiając ich lenna, karząc wygnaniem, zaś w przypadkach szczególnych oddając winowajców w ręce kata. Ponieważ Adalberta przywieziono do klasztoru nocą w nadzwyczaj tajemniczych okolicznościach, jakie na dodatek zbiegły się w czasie z najazdem na przygraniczną marchię, wśród braci zakonnych panowało przekonanie, iż markgraf oddał syna do klasztoru, chcąc w ten sposób chronić go przed zemstą.

Pobył chłopca w klasztorze owiany był od początku mgłą tajemnicy. Ojciec przełożony zakazał braciom surowo jakichkolwiek rozmów na temat Adalberta ostrzegając ich, iż każdego, kto sprzeniewierzy się jego nakazowi, wydali z zakonu jako odstępcę.

— Opinia mistrza Symeona bardzo nas raduje, ponieważ poświadcza słusność naszych oczekiwań, jakie względem ciebie żywimy — powiedział opat drżącym głosem.

Adalbert zauważył u ojca przełożonego nagłą zmianę nastroju. Chłopiec domyślił się, że spowodowały ją zawarte w liście wiadomości od opata Damazego. Wskazywało na to również wzburzenie, którego opat nie potrafił ukryć ani nad nim zapanować, więc kiedy ojciec przełożony zdecydował się zakończyć posłuchanie, dając Adalbertowi do zrozumienia, że chce zostać sam, chłopiec był już w sieniach.

Adalbert otworzył oczy.

Na wpół przytomny, oszołomiony snem, rozglądał się po pomieszczeniu. Z trudem rozpoznawał w mglistej poświacie kształty prostych sprzętów. Czuł się tak, jakby wyciągnięto go z lochu i oślepieno światłem. Kiedy zamknął oczy, usłyszał czyjeś głosy – najpierw dalekie i zniekształcone, po chwili bliższe i donośniejsze, lecz ciągle trudne do rozróżnienia. Przypominały mu szum puszczy podczas wietrznego dnia, łoskot rzeki wezbranej po gwałtownej burzy zmieszane z trzaskiem szalejących płomieni, rżeniem koni, szczękiem oręża, rykiem bydła, krzykiem walczących mężczyzn, przeraźliwym zawodzeniem kobiet i płaczem przerażonych dzieci. Potem wszystko zaczęło oddalać się i przycichać, a przed jego oczami pojawiły się ruchome obrazy z ledwie zarysowanymi postaciami ludzi, którzy wyłaniali się z gęstego mroku i szli ku niemu z wyciągniętymi do przodu rękami macając nimi przed sobą przestrzeń niczym ślepcy, kuśtykając nieporadnie na swoich sztywnych kończynach; ludźmi podobnymi do cieni, z sinymi twarzami i szklistymi oczami o mętym, niewidzącym spojrzeniu. Ich wargi poruszały się, jakby coś mówiły. Możliwe, że szeptem. Jednak z powodu znacznej odległości chłopiec nie słyszał ich. Nie potrafił również odczytać z ich ruchu, co do niego mówią. Jedna z postaci, kobieta średniego wzrostu, o mocnej chłopięcej sylwetce, krzepka w ramionach, z kosmykami czarnych włosów wysuwających się spod jej błękitnego toczka, odłączyła od korowodu cieni i szła w stronę chłopca pewnym, sprężystym krokiem. Kiedy była blisko, wyciągnęła do niego ręce i zawołała czystym, dźwięcznym głosem: Albercie?! Patrzył na kobietę bez lęku, pewny, że oto coś niezwykle ważnego, coś bardzo istotnego łączy go z tą kobietą, która do przebywania w tamtym, mglistym świecie, zmuszona została siłą, wbrew

swojej woli i żeby ten stan jej przymuszenia zmienić, wystarczy przekroczyć dzielącą go od kobiety przestrzeń, która kurczyła się z każdym jej krokiem, lecz której mimo to wcale nie ubywało.

Adalbert wyciągnął do kobiety rękę i kiedy jego dłoń była blisko dłoni kobiety, tak blisko, że poczuł żywe ciepło jej skóry, kiedy jego palce miały dotknąć jej palców, kobieta znikła.

Leżał długo z zamkniętymi oczami. Nie miał ochoty na powrót do swojego świata.

Kiedy otworzył oczy, ujrzał nad sobą sklepienie klasztornej celi oświetlone promieniami wschodzącego słońca, które wpadały do pomieszczenia przez niewielkie, zakratowane okno.

Nie chciało mu się wstawać. Nawet się poruszyć. Leżał na pryczy, na twardych deskach przykrytych garścią słomy, rzuconej na deski bardziej z myślą o zasłonięciu w nich sęków, niż o wygodzie śpiącego. Starał się o niczym nie myśleć. Nie zastanawiał się nad przeszłością. Nie myślał również o przyszłości, po której nie spodziewał się niczego dobrego, z którą nie wiązał żadnych nadziei ani marzeń, chociaż bardzo lubił marzyć. Najczęściej przed zaśnięciem, kiedy perspektywa długiego przebywania samego z sobą zapowiadała radosne oczekiwanie na nieodgadnione, jak też wczesnym rankiem, tuż po przebudzeniu, kiedy czas był krótki, ale za to przymgłony słodkim snem i dobrymi wspomnieniami, od których trudno było mu się oderwać mając przed sobą powrót do świata otaczających go nieprzeniknionych twarzy i podejrzliwych spojrzeń.

Przewrócił się na prawy bok chcąc ulżyć obolałym plecocom. Jego spojrzenie padło na drugą prycz, która stała pod przeciwległą ścianą celi. Poślanie było puste a leżący na pryczy wpychany słomą worek, który zastępował



siennik, uformowany był w kostkę i przykryty pledem z owczej wełny.

Chłopiec zgarnął słomę na swojej pryczy w jedno miejsce, ułożył się na niej najwygodniej jak tylko mógł wykorzystując w miarę równą przestrzeń pomiędzy wypaczonymi deskami, podkurczył nogi, wsunął złożone dłonie pod prawy policzek, ułożył na nich głowę i wpatrując się w migające za oknem cienie rozmyślał o swoim śnie.

Z nierealnego pół snu, w który zaczynał zapadać, wyrwał go trzepot ptasich skrzydeł.

W oknie, na zewnętrznym parapecie, przysiadł czyżyk, znieruchomiał na mgnienie, przekrzywił swój czarny łeppek, zerknął czujnie w głąb celi, uspokojony zalegającą w niej ciszą rozpostarł czarne skrzydełko, wsadził główkę między piórka i wyrównał je ostrym dzióbkiem. Otrząsnął się, wskoczył na żelazną kratę i począł przeskakować z pręta na pręt, kręcąc na wszystkie strony swoim jaskrawożółtym kuperkiem i potrząsając energicznie czarno-żółtym, postrzępionym ogonkiem.

Adalbert podniósł rękę i zamachnął się chcąc spłoszyć czyżyka.

Ptaszek, łypnąwszy czujnie czarnym oczkiem, zamarł w bezruchu.

Chłopiec uniósł się lekko na posłaniu i począł kreślić w powietrzu otwartą dłonią małe kółka.

Czyżyk przekrzywił główkę, błysnął czarnym oczkiem, znieruchomiał na krótką chwilę, po czym zeskoczył z kraty na wewnętrzny parapet okna, nastroszył piórka, otrząsnął się, wyciągnął do przodu główkę ozdobioną czarnym kapelusikiem i kręcił nią zgodnie z ruchem dłoni chłopca.

Adalbert usiadł na posłaniu, wyciągnął spod zagłówka podróżną sakwę, wyjął z niej jęczmienny placek, odłamał

mały kawałek, pokruszył go w palcach, rozsypał na otwartej dłoni, podniósł się z posłania i szedł do okna powoli, ostrożnie, krok za krokiem, z wyciągniętą przed siebie ręką.

Czyżyk wiercił się na parapecie niespokojnie, stroszył piórka, podskakiwał, jakby zrywał się do lotu i poniechawszy go, opadał z powrotem na parapet, wskakiwał na kratę, potrząsał postrzępionym ogonkiem, rozkładał skrzydełka, przysiadał i nieruchomiał na krótko czujny, ostrożny, gotowy w każdej chwili poderwać się w powietrze i odlecieć, ale nie odlatywał, mimo, że odległość pomiędzy nim a dłonią Adalberta kurczyła się coraz bardziej.

Coś ciągnęło ptaka do człowieka, i człowieka do ptaka. Człowieka ciekawość, ptaka nienasycona potęga głodu, ryzykowna, zmuszająca go do narażania się na niebezpieczeństwo, lecz najbardziej racjonalna ze wszystkich potrzeb, choć może ta, teraz, jedynie jako szansa na dodatkowy łatwy posiłek, lecz przecież tak samo uzasadniona. Jednak, jaka by ona nie była, jedno stało się dla Adalberta tego ranka oczywiste – zachowanie czyżyka i sen, który wyrzył w jego pamięci głęboką bruzdę oraz wynikłe z sennych przeżyć przekonanie, że światów jest tyle, ile istot, i tych żywych, cielesnych, i tych ulotnych, utkanych z mglistych złudzeń i wyobrażeń.

Czyżyk sfrunął z parapetu, usiadł na dłoni chłopca i zaczął wydziobywać z niej okruszki placka.

Adalbert stał przy oknie zapatrzony na czyżyka, tak pewny zwyczajności tego, co działo się teraz na jego oczach, że kiedy drzwi celi uchyliły się, pojawił się w nich mistrz Symeon i znieruchomiał w pół kroku, chłopiec uśmiechnął się do malarza i dopiero wtedy, tknięty bardziej nagłym impulsem niż w pełni świadomym odruchem, spłoszył czyżyka szybkim ruchem dłoni i speszony

swoim nieprzystojnym zachowaniem, z zarumienioną twarzą, z wyciągniętą przed siebie dłonią, czekał zawstydzony spodziewając się reprimendy ze strony ojca Symeona.

— Ad maiorem Dei gloriam!<sup>1</sup> — zawołał mistrz Symeon nie mogąc zapanować nad drżącym mu ze wzruszenia głosem. — Oto, dokąd zmierzamy — dodał cicho, prawie szeptem, jakby tylko do siebie.

Padające z okna dzienne światło tworzyło za głową Adalberta świetlistą aureolę, czyniąc z niego postać niezwykłą i nadając jej tak wymownego znaczenia, że wzruszony tym widokiem mistrz Symeon, który w swoim życiu widział już niejedno, teraz, z bijącym sercem, z natłokiem myśli i skojarzeń, nad którymi nie umiał zapanować, stał w progu celi jak porażony. Chciał się przeżegnać, lecz nie znalazł w sobie dość sił, żeby unieść dłoń i uczynić nią znak krzyża. Chciał uklęknąć i modlić się, lecz nie mógł zgiąć kolan, nie potrafił zebrać rozproszonych myśli i przypomnieć sobie pierwszych słów pacierza, więc trwał w tym stanie bezradności zawieszony pomiędzy wzruszeniem a niedowierzaniem, i trwałby w nim najpewniej długo, gdyby nie przywołujący go do rzeczywistości dźwięczny głos chłopca:

— Co wam, mistrzu?

— Takiego go ujrzałem i takiego go też namaluję — szepnął mistrz Symeon.

— Kogo, ojczy? — spytał Adalbert.

— Świętego Franciszka — odparł malarz.

— A ja — chłopiec zawahał się, po czym dodał — ja miałem sen.

— Sen? — zapytał malarz i spojrzał na Adalberta półprzyciemnie, jakby nie rozumiał, o czym chłopiec mówi.

— Mam nadzieję, że dobry. Bowiem gdybym miał go

---

1 na wieczną chwałę Bożą (łac.)

osądzać po jego skutkach, to za taki trzeba go właśnie uznać — dodał z lekkim zniecierpliwieniem mistrz Symeon.

— Powiedziałem sen, ojcze, lecz nie jestem pewny, czy to, co widziałem, było snem — odparł chłopiec i zaczął opowiadać o swoim widzeniu, niczego przed mistrzem Symeonem nie tając, dzieląc się z malarzem skrywanymi głęboko w duszy tajemnicami, wątpliwościami, opisując prześladowające go latawce<sup>1</sup>, wampierze<sup>2</sup> i strzygonie<sup>3</sup> o tak odrażających posturach, że na samą myśl o nich na malarzu cierpła skóra.

— Sen mara, Bóg wiara, mój chłopcze. I nie ma w tym nic niezwykłego, bowiem mens agitat molem<sup>4</sup> — powiedział mistrz Symeon. — Jeżeli służysz Panu, to dla Pana żyjesz i to jest jedyna droga, którą musi kroczyć każdy członek naszej wspólnoty. Gdybyś był człowiekiem świeckim — malarz zawahał się i zamilkł, jakby zastanawiał się nad sensem tłumaczenia chłopcu swoich racji. — Ale nim nie jesteś, więc nie ma to i tak w tej sytuacji żadnego znaczenia — nie dokończył zaczętej myśli. — Byłeś na prendium<sup>5</sup>? — spytał zniecka.

— Nie byłem, mistrzu — odparł zmieszany chłopiec. — Nie uczestniczyłem też we wczorajszych nieszpórach i dzisiejszej jutrzni, bo byłem zmęczony i...

— To nie jest żadne usprawiedliwienie, chłopcze — skarcił go malarz. — Idź do ojca Hiacynta i powiedz mu o swoim zaniedbaniu, zanim uczyni to za ciebie któryś z naszych gorliwych braci.

---

1 dusza zmarłego przybierająca postać dzikiego ptaka

2 wampir

3 upiór

4 umysł porusza materią (łac.)

5 posiłek południowy

**B**yło wczesne popołudnie.

Na dziedzińcu klasztornym nie działo się nic, co mogłoby wzbudzić zainteresowanie Adalberta.

Bracia po skończonym prendium powrócili do swoich obowiązków związanych z pełnieniem codziennych posług w klasztorze, jak też poza nim, w okolicznych wsiach i osadach, które leżały w najbliższym sąsiedztwie klasztoru, również do prac w gospodarstwie przy obrządku trzody i bydła, pielęgnacji rybnych sadzawek, w ogrodzie i na polach, których w ostatnich latach klasztorowi znacznie przybyło dzięki wielkiej hojności coraz liczniejszych fundatorów, jak też zamianom oraz zakupom dokonanyom przez szafarza<sup>1</sup>.

Adalbert usiadł na kamiennej ławie, która stała przy wejściu do klasztornej kuchni, wyciągnął zza pazuchy ćwiartkę białego chleba, skubnął solidny kawał miękiszu, włożył go do ust, popił mlekiem z glinianego dzbana i żuł chleb długo, cierpliwie, czując, jak z każdym kęsem powracają mu utracone siły. Przełknął ostatni kawałek chleba, popił go mlekiem, odstawił dzban, sprawdzając czy nie zostały w nim resztki mleka, otarł usta wierzchem dłoni, przeciągnął się, aż zatrzeszczało mu w stawach i zaczął wsłuchiwać się w odgłosy przecierania drewna i metaliczne pobrzękiwania kielni, które dochodziły do niego z przeciwległej strony dziedzińca, niewidocznej, bo zasłoniętej sągami tarcicy i stosami kamieni. Chłopiec domyślił się, że ciągle jeszcze trwa tam budowa infivemerii<sup>2</sup>. Naszła go ochota przekonania się na własne oczy, jak daleko posunęły się prace przy budynku od czasu, gdy opuścił klasztor i udał się z mistrzem Symeonem w podróż, lecz szybko z tego zamiaru zrezygnował, bo-

---

1 zarządca

2 pomieszczenie dla pielgrzymów i gości

wiem zwyciężyło w nim syte rozleniwienie spowodowane pełnym brzuchem i myśl, że zapewne niewiele, skoro spoza stosów kamieni i drewna nie widać jeszcze dachu budowli, dlatego oparł się plecami o ścianę, wyciągnął przed siebie nogi, odchylił w tył głowę i spod na wpół przymkniętych powiek obserwował zakonników przemyskających z rzadka przez klasztorny dziedziniec.

Minęło sporo czasu od lokacji klasztoru, który powstał w miejscu dawnego grodu, od wielu lat opuszczonego i przez to zmieniającego się powoli w ruinę, przekazanego zakonowi przez jego właściciela, jako wotum dziękczynne za uratowane życie i jego szczęśliwy powrót z wyprawy do Ziemi Świętej. Kilka dni przed swoją śmiercią wdzięczny losowi fundator przekazał zakonowi dodatkowo dwie wsie leżące nieopodal klasztoru, karczmę na rozstaju dróg z prawem prowadzenia wyszynku, pastwiska i ziemie orne w dolinie oraz puszczański las położony między jeziorem a rzeką, z jedynym w tych stronach brodem przejezdnym przez okrągły rok, z wyjątkiem przedwiośnia, kiedy to spływająca kra tarasowała koryto rzeki, piętrzyła w niej wodę i powodowała powstawanie wielkiego rozlewiska uniemożliwiającego przez kilkanaście dni pokonanie rzeki o tej właśnie porze roku.

Dzięki zapobiegliwym przeorom i opatom klasztor systematycznie powiększał stan swojego posiadania. Sukcesywnie przybywało mu ziem uprawnych i lasów otrzymywanych jako donacje<sup>1</sup>, nabywanych w drodze zakupów oraz zamian. Bogacił się także korzystając z nadanych zakonowi praw do pobierania opłat od dziesięcin, immunitetów ekonomicznych i sądowych, zaś w przyklasztornym gospodarstwie, założonym przez obec-

---

1 darowizny

nego opata, bracia hodowali na swoje potrzeby bydło, owce, trzodę i ptactwo.

Poza murami klasztoru, na płynącym u podnóża wzniesienia potoku działał młyn, zaś na szczycie wzniesienia opat zamierzał postawić wiatrak, który siłą swoich skrzydeł oraz systemem przemyślnie połączonych rur, przekładni, kół zębatych i czerpaków miał tłoczyć ze strumienia wodę do klasztornych zabudowań.

Zresztą, obecny opat miał w tym względzie wiele innych pomysłów prawie gotowych do realizacji. Zamierzał wprowadzać w klasztorze rozmaite udogodnienia, które ciężką pracą fizyczną braci, szczególnie tę na roli i w przyklasztornym gospodarstwie, miały uczynić lżejszą, a ich życie wygodniejsze i przyjemniejsze. Ojciec przełożony zapewniał swoich współbraci o podjętych w tej dziedzinie przedsięwzięciach przy każdej nadarzącej się sposobności – w czasie spotkań w wirydarzu, przed wspólnymi modlitwami, podczas swoich kazań, jak też w trakcie przypadkowych spotkań i rozmów z nimi. Kiedy natknął się na klasztornym dziedzińcu na któregoś z braci, zatrzymywał go i z rozpromienioną twarzą opowiadał mu o swoim nowym zamyśle, opisując działanie wymyślanego urządzenia, które zamierzał wprowadzić w klasztorze w bliżej nieokreślonej przyszłości, i domagając się od zakonnika opinii o działaniu owej maszyny, pomimo, że brat nie widział jej na oczy, nie wspominając już o tym, że droga do jej użytkowania w klasztorze była równie daleka, jak droga z ziemi do gwiazd.

— Siedzisz chłopcze i próżnujesz nie zdając sobie sprawy, że próżnowanie jest grzechem.

Adalbert otworzył oczy i ujrzał przed sobą szarą, bezkształtną sylwetkę. Słońce, które wyszło właśnie zza

chmur, oślepiło go tak skutecznie, że chłopiec nie był w stanie rozpoznać, kto przed nim stoi.

— Widzę, że pamięć już tobie nie dopisuje tak, jak dawniej — ciągnął dalej tym samym żartobliwym tonem dziwnie znajomy chłopcu głos. — Pewnie zawieruszyła się gdzieś w czasie ostatniej podróży, albo źle przez ciebie traktowana odeszła i już do ciebie nie powróci.

— Ojciec jak zawsze w doskonałym humorze a mnie zmęczenie odebrało nie tylko siły, lecz także humor tak skutecznie, że zupełnie nie wiem, co mam ojcu na to odpowiedzieć — odparł Adalbert.

Chłopiec poznał po głosie bibliariusza<sup>1</sup> ojca Izydora, człowieka uczonego a przy tym niezwykle skromnego, o nadzwyczaj pogodnym usposobieniu, zawsze skorego do psot, przymówek i żartów, który przed dwoma laty przybył z dalekiej Prowansji do tutejszego klasztoru, żeby założyć w nim i prowadzić przyklasztorną bibliotekę.

— Najlepszym lekiem na wszelkie dolegliwości, jakie trapią naszą duszę, jest praca. Szczególnie taka, która pracującemu przynosi satysfakcję, a innym daje korzyści. Weź ode mnie ten manuskrypt<sup>2</sup>, chłopcze, a ulżysz moim osłabłym członkom i dokończysz dzieła, które sam zacząłem bojąc się powierzyć je komukolwiek z braci w obawie, że mu nie podoła. A jeśli nawet dałby radę, to mniemałem, że nie wypełni zadania tak, jak należy, więc zgrzeszyłem wobec niego podwójnie, raz swoją podejrzliwością i drugi raz brakiem zaufania. Ale oto Pan, w swojej wielkiej dobroci, postawił na mojej drodze ciebie okazując mi w ten sposób miłosierdzie i stwarzając szansę poprawy, z czego nie skorzystać byłoby grzechem równym poprzedniemu. Więc pomóż mi, chłopcze,

---

1 bibliotekarza

2 rękopis



z serca i bez niechęci, czym sprawisz radość mnie, zaś Panu naszemu oddasz należną mu posługę — mówił brat Izydor szybko, chaotycznie, płacząc przy tym wątek, gubiąc się w szczegółach i gmatwając sens wypowiedzi swoją nadzwyczaj kwiecistą stylistyką.

Adalbert domyślił się, że bibliotekarz oczekuje od niego pomocy. Na czym miała ona polegać, chłopiec zrozumiał dopiero wtedy, gdy przysłonił dłonią oczy i ujrzał ojca Izydora dźwigającego manuskrypty.

— Jak widzisz, drogi chłopcze, moje ciało i mój umysł przestały chodzić zgodnie w jednym jarzmie — powiedział bibliotekarz i usiadł na ławie obok Adalberta.

— Kto taką wiedzą włada, jak ojciec librariusz, tego siłą nie ciało jego jest lecz rozum — odparł śmiałym głosem chłopiec.

— Taaak — powiedział przeciągle zakonnik, spojrzał z podziwem na Adalberta i dodał z satysfakcją. — Ładnie powiedziane, chłopcze. Tak ładnie, że twoje słowa należałoby zapisać na ścianie biblioteki, żeby służyły za maksymę. I co ty na to, chłopcze?

— Dla mnie zainteresowanie ojca moją osobą i powierzenie mi opieki nad świętymi księgami jest większym zaszczytem, niż...

— Doskonale ciebie rozumiem — przerwał Adalbertowi bibliotekarz, który nie miał ochoty wysłuchiwać grzeczności pod swoim adresem. — Ale mnie, pojmujesz, idzie o sprawę przyziemną. Doniesienie tych oto cennych ksiąg do biblioteki bez żadnego dla nich uszczerbku. A muszę przyznać, że mam wątpliwości czy aby podołasz temu obowiązkowi — zastanawiał się bibliotekarz patrząc na niepozorną postać chłopca, który podniósł się z ławy gotowy do wypełnienia zadania. — Jak widzisz, nie tylko moje ciało odmawia mi posłuszeństwa, z czym będę musiał się pogodzić, lecz także mój

umysł. Ale z tym drugim pogodzić będzie mi się o wiele trudniej — przerwał swój wywód zakonnik czując, że deprimuje nim Adalberta. — Widzę, chłopcze, że bardzo ciebie poruszyłem swoimi narzekaniami, więc powiem tak. Nie przejmuj się tym, co do ciebie mówię, bo mówię to na własny użytek, dla wzmocnienia wiotczącego ciała i pokrzepienia słabnącego ducha — ciągnął dalej ojciec Izydor. — Bierzmy więc, chłopcze, księgi i zanieśmy je tam, gdzie ich miejsce — bibliotekarz zdjął z kolan dwa manuskrypty i podał je Adalbertowi. — I zróbmy to jak najprędzej, bo jakoś dziwnie mi przez tę krótką chwilę sposepniały. Pewnie z powodu nieodpowiedniego ich traktowania — ojciec Izydor podniósł się z ławy i nie oglądając się na Adalberta ruszył do kaplicy.

Przed przybyciem brata Izydora biblioteka znajdowała się w zakrystii, a jej księgozbiór liczył zaledwie siedem manuskryptów. Nikt z przebywających w klasztorze braci nie korzystał z tych ksiąg, ponieważ nikt z nich, poza opatem, nie umiał czytać. Potrzeby braci były w tej materii bardziej niż skromne, ich zainteresowanie książkami marginalne, więc opat nie widział powodu, żeby przeznaczać pieniądze na księgi, z których pożytek był jedynie taki, że leżały w zakrystii i pokrywały się kurzem.

Z tych właśnie względów biblioteka traktowana była jak piąte koło u wozu i pozostawała niezmiennie na szarym końcu klasztornych potrzeb. O jej istnieniu przypomniano sobie dopiero podczas wizytacji przełożonych zakonu, przyjazdu ważnego gościa lub hojnego darczyńcy ofiarującego klasztorowi kolejny manuskrypt w nadziei, że swoim prezentem zasłuży sobie na wpisanie do liber daticus<sup>1</sup>, pamięć braci przy modlitwie i na przynależną mu, z tytułu darowizny, zaszczytną obecność w historii klasztoru.

---

1 księga pamięci

Opat przeszedł przez furtę i kiedy tylko brat furtian zniknął mu z oczu, pociągnął malarza za rękaw i poprowadził go do ogrodu, który zaczynał się kilkadziesiąt kroków od klasztornych murów, schodził w dół łagodnym stokiem wzniesienia i kończył się u jego podnóża rozległą równiną klasztornych pastwisk, łąk i ornych pól obsianych oziminą.

Zakonnicy szli dość długo w milczeniu.

Opat przystawał co jakiś czas, patrzył na okolicę z niekłamanym zachwytem w oczach i wzdychał urzeczony jej niezwykłą urodą.

— Nieziemskie widoki, bracie Symeonie. Po prostu nie do uwierzenia, że natura może być sama z siebie aż tak piękna — odezwał się opat drżącym ze wzruszenia głosem.

— Zapewne dlatego, że jest nie z tej ziemi — odparł z ironicznym przekąsem malarz.

Mistrz Symeon miał na temat piękna ugruntowane zdanie. Nigdy nie ulegał cudzym sugestiom, nie poddawał się też nastrojom chwili i od pustego zachwyty wołał trzeźwy osąd poparty wiedzą. Malarz zupełnie nie cenił ludzi popadających z byle powodu w egzaltację. Pokpiwał sobie z nich i okazywał im lekceważenie, uważając ich za niezdolnych do logicznego myślenia a tym samym do podejmowania trafnych wyborów w sytuacjach, kiedy o powodzeniu decydowało opanowanie i zimna krew.

— A jednak mam rację, bo patrząc na to — opat zastanawiał się jak nazwać urzekający go widok, lecz nie znajdując na poczekaniu odpowiedniego określenia, powiedział — czuję wzruszenie. A przecież takie doznanie nie rodzi się we mnie, kiedy widzę wieprza czochrającego się o ścianę chlewu albo tarzającego się na pastwisku

wołu. Weźcie też pod uwagę, że tak czuje człowiek, który jest zwykłym zjadaczem chleba bez krzyny artystycznych uzdolnień w przeciwieństwie do was, bracie Symeonie, mistyka, któremu pędzle i farby są równie posłuszne jak szewcowi szydło, igły i punce<sup>1</sup> — opat przerwał i w tej samej chwili począł się przed malarzem tłumaczyć z niezręcznego porównania. — Nie gniewajcie się na mnie za takie porównanie, bo nie jest łatwo mnie, prostemu człowiekowi, znaleźć gładkie słowa, ot tak, na poczekaniu, jak nie przymierzając wam, artyście malarzowi.

— Jestem, drogi opacie, rzemieślnikiem, który zawsze stara się wykonywać swoją pracę najlepiej jak potrafi i pod tym względem nie różnię się niczym od krawca czy szewca, których starania uważam za równe swoim. I te podobieństwa, jak też wasze porównanie, poczytuję sobie za zaszczyt — odparł niezrażony malarz.

— A no, tak, tak — zgodził się opat. — Macie rację, bracie Symeonie. Bezwzględnie macie rację. Zostawmy zatem te zachwyty innym, skoro one prowadzą nas do nikąd. My natomiast, spacerując z dala od cudzych uszu, porozmawiajmy o sprawach, które, jak sądzę, obchodzą nas obu o wiele żywiej niż ulotne wdzięki natury.

— Nie jestem przekonany czy nasza odległość od cudzych uszu jest tak bezpieczna, jak mówicie — powiedział z powątpiewaniem malarz.

— Zupełnie nie rozumiem, do czego zmierzacie — odparł zaskoczony opat.

— Ja, do niczego. Kiedy mówiliście o cudzych uszach, pomyślałem o trawie.

— O czym? — opat przystanął.

— O trawie — powtórzył malarz.

— Jakiej znowu, trawie? — opat obrzucił mistrza Symeona podejrziwym spojrzeniem. — Co wspólne z

---

1 narzędzie szewskie do wycinania dziurek i otworów

tym wszystkim ma jakaś tam, trawa? — zdumiał się ojciec przełożony.

— Podobno tutejsza ma uszy — powiedział mistrz Symeon.

— Zupełnie nie pojmuję, o czym wy właściwie mówicie?

— O trawie, która ma uszy — odparł malarz. — Tak mnie poinformowano.

— Poinformowano? — powtórzył opat patrząc z niedowierzaniem na malarza. — Ach, tak! — wykrzyknął i roześmiał się. — Rozumiem — przerwał dla nabrania tchu, chciał mówić dalej, lecz śmiech nie pozwolił mu wykrztusić nawet jednego słowa. Dopiero, kiedy przelał się przez niego niczym fala powodzi przez rzekę i ustąpił, opat kręcąc z niedowierzaniem głową i ocierając dłonią zażawione oczy zapytał. — Kto wam tak powiedział?

— Nie uwierzycie — odparł mistrz Symeon.

— Uwierzę.

— Za pierwszym razem? — spytał zaczepnie malarz.

Opat skinął głową.

— Bez powtarzania? — pytał dalej malarz chcąc wzmóc ciekawość opata.

— Mówcie — odparł opat potrząsając niecierpliwie głową.

— Adalbert — powiedział z ociąganiem mistrz Symeon, patrząc przy tym na opata, ciekawy bardzo jego reakcji.

— Nie powiem, żeby wasza informacja mnie nie zaskoczyła, bo byłbym nieszczerzy — rzekł opat pocierając z zakłopotaniem dłonią twarz.

— Proszę was, ojczy, byście nie uznawali tego za informację, ponieważ takie sformułowanie nie tylko źle mi

się kojarzy, ale równie źle wpływa na moje samopoczucie — odparł szorstko malarz.

— Oczywiście, bracie Symeonie, oczywiście — zgodził się opat zdając sobie sprawę, że rozmowa zbacza na drażliwy temat, a przecież wyszedł z malarzem na spacer do ogrodu w innym zamiarze. — Macie rację. Wybaczcie mi, proszę, bowiem nie powiedziałem tego rozmyślnie, lecz zupełnie bezwiednie, nawet przez chwilę nie zastanawiając się nad znaczeniem wypowiedzianej kwestii. Moje zaskoczenie, a raczej, bardziej zdziwienie, że tak się wyrażę, wywołaliście, ojcze, wskazując mi autora owego stwierdzenia, chociaż nie powinienem się dziwić z tej prostej przyczyny, że niewielu naszych braci byłoby stać na sformułowanie takiej refleksji.

— Mówiąc wam o tym epizodzie, drogi opacie, chciałem wam pokazać z jak dociekliwym umysłem mamy do czynienia. Chyba — malarz zawahał się — że był to tylko jego jednorazowy, niekontrolowany rozbłysk. Ale choćby nawet i tak było, to czy światło nie składa się z takich właśnie rozbłysków? — zapytał mistrz Symeon i nie dając jednoznacznej odpowiedzi ani nie oczekując jej od opata, ciągnął dalej. — Więc nawet ten pojedynczy jest świadectwem uzdolnień chłopca, natomiast ile ich będzie i czy kiedyś staną się one światłem, któż to może teraz wiedzieć. Będzie to, jak zawsze w takich przypadkach, zależało od wielu okoliczności, o które jednak nie tak trudno przecież jest zadbać. Co do tego nie mam żadnych wątpliwości. Jednak należy pamiętać również o tym, żeby uzdolnień chłopca nie wykorzystywać do innych — malarz przerwał zastanawiając się, jakiego użyć określenia, chrząknął zakłopotany i nie znajdując go, dodał — powiedzmy ogólnie, innych celów. Dlatego chciałem prosić was, ojcze opacie, byście zezwolili mi na oto-

czenie chłopca opieką wedle mojego zamysłu, z pożytkiem dla naszego Pana, zakonu i sztuki.

— Nie wiem, bracie Symeonie — odparł pośpiesznie opat — doprawdy nie wiem, co wam mam odpowiedzieć — powtórzył zaskoczony. — Chłopca oddano pod moją opiekę i nakazano mi dbać o niego, jak o własnego syna. Jeśliby coś złego, nie daj Boże — opat przeżegnał się — ja odpowiadam za wszystko. A przekazując go teraz wam — opat zamyślił się — ot tak, bez żadnego nadzoru z mojej strony — dodał, zamilkł na krótko, po czym ciągnął dalej. — Doprawdy, trudne to będzie. Trudne nadzwyczaj — stwierdził zamierzając brakiem zdecydowania uchylić się od podjęcia decyzji. — Poza tym łączą mnie z chłopcem, pewne — opat zawahał się — powiem bardziej ogólnikowo, określone związki, o których nie powinienem mówić.

— Nie szkoda wam, opacie, marnować jego zdolności dla takich zadań? — zapytał malarz z wyrzutem w głosie patrząc przy tym ojcu przełożonemu prosto w oczy.

— Ja jego zdolności, bracie Symeonie, nie marnuję — odparł opat mierząc malarza złym spojrzeniem. — Ja je rozwijam — dodał akcentując dobitnie ostatnie słowa.

— Przypuśćmy — mruknął mistrz Symeon.

Opat, dotknięty kpina malarza, odwrócił się i ruszył przed siebie podrzucając nerwowo ramionami. Wzburzenie wyprowadziło go z równowagi, chęć wzięcia na malarza natychmiastowego rewanżu mąciła jego rozsądek i jedynie drzemiąca w nim ostrożność, która zawsze w takich krytycznych chwilach budziła się w jego podświadomości bijąc na alarm, uzmysłowiła mu wiszące nad nim niebezpieczeństwo, które mógł na siebie spowodzić swoim nieprzemyślanym zachowaniem.

Wśród opatów i przeorów zakonu chodziła fama, że mistrz Symeon jest tajnym wizytatorem generalnej kapi-

tuły a jego malarstwo, któremu z takim upodobaniem się oddawał, miało być jedynie wygodną przykrywkę dla jego głęboko skrywanej, prawdziwej działalności. Malowanie pozwalało ojcu Symeonowi na częste wizyty w klasztorach, zaś jego długie, często wielomiesięczne pobyty, uzasadnione wykonywaniem w nich fresków, stwarzały mu doskonałą możliwość nawiązywania bardzo bliskich, niemal intymnych kontaktów z braćmi, pozwalały zdobywać ich zaufania i w konsekwencji dawały mu nieograniczony dostęp do wielu tajemnic, bardzo niewygodnych dla ojców przełożonych, a nierzadko i nadzwyczaj wstydliwych.

— Dajmy spokój chłopcu — opat zatrzymał się przy jabłoni, obszedł ją wokoło udając, że przygląda się zawiązkom owoców, gdy tymczasem chciał jedynie sprawdzić, gdzie jest mistrz Symeon. Kiedy zauważył kątem oka, że malarz podąża za nim, odetchnął z ulgą. — O nim można przy braciach, a ja chciałem z ojcem na osobności i bez świadków o bardzo ważnych sprawach, na temat których nie mam wyrobionego poglądu, ponieważ toczą się daleko od nas, bez naszego udziału i co gorsza, naszej wiedzy, a tak przecież być nie powinno.

— A cóż to tak opata niepokoi? — zainteresował się malarz nadstawiając ucha.

— Wieści od ojca Damazego.

— Nie mam o nich pojęcia i powiem wam, opacie, więcej. Nawet się ich nie domyślał — wyznał szczerze malarz.

— Ojciec Damazy napomyka w swoim liście o pewnej sprawie dość ogólnie, lecz tak jednoznacznie, że nietrudno ją odczytać między wierszami — zaczął tajemniczo opat mierząc przy tym malarza badawczym spojrzeniem.

— A co ja mam mieć z tą sprawą wspólnego?



— Byliście u opata Damazego, malowaliście u niego fresk, więc pewnie widzieliście — zaczął ostrożnie ojciec przełożony i zawahał się na moment. — Chciałem powiedzieć, byliście świadkiem pewnych wydarzeń — opat przerwał w pół zdania i począł się tłumaczyć, chcąc uprzędzić ewentualny sprzeciw malarza. — Wiem, wiem, ojcie Symeonie. Zaraz mi powiecie, że chcę was namówić do rzeczy niegodnej. A ja wam mówię, że chodzi mi tylko o waszą opinię, którą chciałbym, z waszym przyzwoleniem, skonfrontować z informacjami ojca Damazego, co pozwoli mi wyrobić sobie pogląd w miarę zgodny ze stanem faktycznym i da szerszy ogląd spraw, o których opat Damazy pisze bardzo ogólnikowo. Poza tym, nie można nawet przyrównywać, z wiadomych przecież względów, zalet informacji przekazywanych ustnie z przedstawianymi w listach, choćby były one opisane najbardziej drobiazgowo.

— Więc? — mistrz Symeon zawiesił głos.

— Henryk — odpowiedział jednym tchem opat.

— Henryk, powiadacie — malarz zmrużył oczy i spojrzał na błękitne, bezchmurne niebo w sposób tak wymowny, że obserwujący go kątem oka opat nie miał żadnych wątpliwości, iż malarz zastanawia się nad tym, co mu ma powiedzieć, a co przemilczeć i zachować dla siebie.

Z kolei zachowanie opata utwierdziło malarza w pewności, że ojciec przełożony bardzo łatwo ulega cudzym sugestiom i podszeptom, zaś jego wrodzona ostrożność i nieufność do ludzi sprawiają, iż rzucone na tak podatną glebę ziarno podejrzliwości kiełkuje, rośnie i dojrzewa błyskawicznie przynosząc swojemu siewcy obfite plony.

— Był, owszem, był — odezwał się mistrz Symeon cedząc słowa. — Nie wiem tylko, dwa czy też trzy razy. Raczej dwa, jeżeli sobie dobrze przypominam — za-

strzegł się malarz. — Iii... — zastanawiał się przez chwilę — dwa, najwyżej trzy dni. Dla odpoczynku w podróży. Konni. Wozy. Cały orszak. Księżę i jego najznamienitsi towarzysze gościli w klasztorze, pozostali zbrojni i cała służba poza murami, w namiotach, szałasach, pod gołym niebem. Jak kto tam mógł.

— Opat Damazy pisze, że księżę poślubił córkę Ottona<sup>1</sup>. Jeżeli tak, to zapewne była ona z księciem?

— Po pierwsze, tego nie wiem — odpowiedział malarz — więc wam tej wiadomości potwierdzić nie mogę. Po drugie, tak mnie, jak też pozostałym braciom, zakazano zbliżać się do gości. Po trzecie, choćbym nawet widział ową niewiastę, to i tak nie rozpoznałbym jej z tej prostej przyczyny, iż nie wiem, jak ona wygląda. Nie mogę jednak zaprzeczyć, że jej tam nie było. Były jakieś białogłowy. Owszem, były. Malując w kaplicy słyszałem, jak modliły się w bocznej nawie, ale nie widziałem ich, ponieważ zasłaniała mi je ściana. Ponadto wchodziły do kaplicy i wychodziły z niej bocznym wejściem, które w trakcie mojego malowania miałem również poza zasięgiem wzroku.

— Podobno opat Damazy, w zamian za swoje wstawiennictwo u biskupa wrocławskiego w sprawie pojednania się z księciem, liczy na nowe nadania i poniesienie misji na ziemię północne — opat wyrzucił z siebie dręczącą go myśl, przerwał w połowie zdania i zamilkł.

Zainteresowanie ojca przełożonego tą właśnie sprawą wydało się malarzowi dziwne. Z początku mistrz Symeon zupełnie nie pojął, dlaczego opata interesują wydarzenia nieistotne, wręcz jego zdaniem błahe, lecz kiedy ustawił je w określonym porządku i skojarzył z innymi zdarzeniami, również z rozmowami, jakie odbył wcześniej z

---

1 Matylda Brandenburska (1270-1298)

opatem, stało się dla niego aż nadto oczywiste, na jaką drogę wkroczył opat i dokąd nią zmierza.

Książę Henryk, chcąc poprawić swój nienajlepszy wizerunek nadszarpnięty wieloma nieroztropnymi decyzjami i nieprzemyślanymi posunięciami, w tym niezwykle bulwersującym opinię publiczną odprawieniem od siebie pierwszej żony<sup>1</sup> i nowym ożenkiem, szukał poparcia dla swoich starań o koronę polską wszędzie, gdziekolwiek tylko się dało. Zabiegał także usilnie o polubowne zakończenie ciągnącego się od kilkunastu lat konfliktu z biskupem<sup>2</sup>, którego pozbawił biskupstwa i zmusił siłą do emigracji.

Kiedy opat otrzymał od ojca Damazego poufną wiadomość, że w sporze księcia Henryka z biskupem, cesarz opowiedział się za Henrykiem, a podobnie miał postąpić także sam papież, opat bez wahania stanął po stronie księcia chcąc zaskarbić sobie jego sympatię i wdzięczność, co w przyszłości, wedle jego zamysłu, miało owocować nowymi nadaniami dla klasztoru i intratnymi przywilejami.

Opat był człowiekiem nadzwyczaj ambitnym. Stawiał sobie, zakonowi oraz podległym mu braciom wymagania, których nawet częściowe spełnienie przekraczało często realne możliwości. Na ziemiach północnych zamierzał założyć filię klasztoru i w związku z tym projektem zabiegał w kapitule generalnej o zezwolenie na udział swoich braci zakonnych w chrystianizacji Prusów i Jaćwingów. Z Ziemi Świętej planował sprowadzić relikwie, które z obecnego klasztoru uczynić miały w przyszłości jedno z najbardziej znanych w kraju miejsc kultu i pielgrzymek. Do zrealizowania tych ambitnych planów potrzebne były opatowi znaczne środki, którymi sam nie

---

1 Konstancja Opolska (1256-1351)

2 biskup Tomasz II Zaremba (?-1292)

dysponował, lecz które spodziewał się otrzymać od księcia Henryka w zamian za poparcie jego politycznych dążeń.

— Trudno mnie, zwyczajnemu malarzowi, rozebrać z sensem sprawy, o które się dopytujecie. Gdybym w trakcie dziania się ich miał taką świadomość jak obecnie i przyglądał się im tak, jak przygląda się człowiek świadomy postawionych mu zadań, byłbym o tym wiedział teraz na pewno — powiedział malarz.

— Moglibyście w przyszłości, bracie Symeonie, wspomagać nas w naszym zbożnym dziele włączając się w jego realizację w sposób, jaki sami uznacie za stosowny. Jesteście człowiekiem doświadczonym, macie rozległe kontakty, więc każde wasze spostrzeżenie, każda wasza rada, będzie dla mnie nadzwyczaj cenna.

Mistrz Symeon zawahał się nie bardzo wiedząc, co ma opatowi odpowiedzieć. Jeżeli wyrazi zgodę, stanie się kolejnym uchem opata tracąc na zawsze, co boleło go najbardziej, własną niezależność.

— A co z chłopcem, opacie? — malarz uchwycił się ostatniej szansy z nadzieją, że opat odmówi mu, ponieważ nie będzie chciał utracić kontroli nad Adalbertem.

— Zgodzę się, lecz pod pewnymi warunkami. Musicie mi przyrzec, bracie Symeonie, że będziecie mnie informowali o jego postępkach — zastrzegł się opat.

— Stanie się wedle waszych życzeń — odpowiedział po krótkim wahaniu malarz.

— W obu sprawach? — zapytał z obawą opat.

Mistrz Symeon kiwnął głową.

Opat patrzył długą chwilę na malarza, a kiedy nie odnalazł w jego postawie nawet odrobiny triumfalizmu czy choćby cienia satysfakcji, zapytał go zawiedzionym głosem:

— Od dawna nurtuje mnie pewna wątpliwość i już nie raz chciałem was o to zapytać, lecz zwykle rezygnowałem, ponieważ, wstyd się przyznać, uznawałem ją za swoją słabość. Powiedzcie mi, bracie Symeonie, czemu ja wam tak ciągle ulegam?

— To nie jest uległość, ojczyście, ale w pełni prze-myślany i świadomie dokonywany przez was wybór — powiedział malarz uzmysławiając sobie z goryczą, że nie tylko opatowi uległ, lecz zaoferował mu również swoje usługi, które od zawsze budziły w nim wstręt.

**A**dalbert był w bibliotece sam.

Kopiował z lekcjonarza<sup>1</sup> na palimset<sup>2</sup> tekst, który wybrał mu do dzisiejszych ćwiczeń w pisaniu ojciec Izydora.

Bibliotekarz udał się do szafarza, żeby ustalić z nim zakup najniezbędniejszego wyposażenia dla klasztornej biblioteki. Wrócić miał migiem, bowiem wszystko było już uzgodnione i zatwierdzone, pozostały jedynie jakieś drobne szczegóły, nieistotne dla ojca Izydora, lecz jak się okazało, bardzo ważne dla szafarza, człowieka nadzwyczaj oszczędnego, żeby nie powiedzieć sknery, który wyciągnąwszy z kiesy kwartnika<sup>3</sup> oglądał go na wszystkie strony rozważając przy tym, czy nie ma pilniejszej potrzeby od tej, na którą miał go właśnie przeznaczyć.

Ojciec Izydora był skryptorem<sup>4</sup>. W poprzednim klasztorze nadzorował pracę kilku kopistów i kaligrafów, którzy zajmowali się przepisywaniem dwóch mszałów, ewangelii, trzech reguł i bogato iluminowanego psalterza. Ponieważ praca skryby była żmudna i czasochłonna,

---

1 księga liturgiczna

2 pergamin, z którego usunięto poprzedni tekst

3 srebrna moneta bita pod koniec XIII w.

4 mnich nadzorujący pracę kopistów

a jej efekt końcowy możliwy do ocenienia nierzadko dopiero po jego śmierci, ojciec Izydor uważał, że doczekanie dnia, w którym jego dzieło, bogato iluminowany psalterz zostanie ukończony, będzie pięknym zwieńczeniem jego życia. Kiedy opuszczał klasztor, prosił swoich podopiecznych o powiadomienie go o terminie zakończenia prac nad psalterzem niezależnie od tego, gdzie będzie wówczas przebywał. W obecnym klasztorze brat Izydor również nie zapominał o doskonaleniu swoich pisarskich umiejętności i prawie codziennie siadał na kilka godzin do kopiowania kodeksu, godząc to czasochłonne zajęcie z obowiązkami organizatora biblioteki, które pochłaniały go coraz bardziej, tak że zaczął poważnie przemyślać o ściągnięciu do klasztoru doświadczonych skrybów. Równocześnie namawiał ojca przełożonego do założenia w klasztorze scriptorium<sup>1</sup>, ufając po cichu, że znajdzie wśród braci utalentowanych zakonników, z których w przyszłości uczyni biegłych kopistów.

Adalbert siedział na ławie, na kolanach trzymał pulpit, w palcach gęsie pióro, maczał go w inkauscie<sup>2</sup>, strzepywał z pióra nadmiar atramentu, po czym kładł pióro na pergaminie i prowadził go powoli po nakreślonej przez ojca bibliotekarza minuskule<sup>3</sup>, pilnując, żeby nie zboczyć z niej nawet na jotę.

Chłopiec lubił kopiowanie, chociaż było ono zajęciem żmudnym, wymagającym od niego skupienia, uporu i wielkiej cierpliwości. Przed ostatnią wyprawą z mistrzem Symeonem zachodził sporadycznie do biblioteki, zachęcany do odwiedzin przez ojca Izydora, który wynajdywał mu różne zajęcia pobudzające jego ciekawość i pogłębiające zainteresowanie księgami.

---

1 pomieszczenie, w którym przepisywano księgi

2 atrament

3 mała litera

Pod bacznym okiem bibliotekarza Adalbert czynił stałe postępy. Potrafił zrobić samodzielnie zupełnie dobry inkaust, postawić na pergaminie całkiem zgrabną minuskulę karolińską<sup>1</sup>, nie miał też najmniejszych kłopotów z wybraniem odpowiedniego pióra i przysposobieniem go do pisania zgodnie z obowiązującymi regułami. Kilkanaście przygotowanych przez chłopca gęsich piór leżało na półce gotowych w każdej chwili do użycia. Inne, z obcięta chorągiewką i końcówką stosiny, powiązane w pęki, Adalbert zawiesił na ścianie, gdzie schnąc, czekały na dalszą obróbkę.

Gdyby zapas piór został wyczerpany lub z jakis względów okazałyby się niewystarczające, Adalbert wiedział, jak przygotować na poczekaniu pióro, które dobrze spełni swoje zadanie. Wybierał spośród świeżych piór gęsich najodpowiedniejsze, hartował je wstawiając koniec stosiny do gorącego piasku, następnie do zimnej wody, ścinał półprzezroczystą tubkę w ostry czubek, nacinał go wzdłuż, po czym odcinał jego koniec w taki sposób, żeby pióro miało kwadratową końcówkę.

Żadnych trudności nie sprawiało także Adalbertowi przygotowanie palimpsestu, wyrównywanie pergaminu, czy też posługiwanie się narzędziami do punktowania i znaczenia na kartach linii pionowych.

Niektóre prace chłopiec wykonywał pod nadzorem ojca Izydora. Inne, mniej skomplikowane, jak również te, w których osiągnął już wystarczającą biegłość, wykonywał samodzielnie mając w tej mierze wolną rękę i pełne zaufanie ojca bibliotekarza.

Przepisywanie tekstu, który wyznaczył Adalbertowi do dzisiejszych ćwiczeń brat Izydor, zmęczyło chłopca. Siedzenie w niewygodnej pozycji sprawiło, że Adalbert stracił czucie w nogach. Chłopiec odłożył pulpit, pod-

---

1    rodzaj średniowiecznego pisma

niósł się z ławy i zaczął chodzić po izbie chcąc przywrócić sprawność zdrętwiałym mięśniom.

Pomieszczenie biblioteczne było niewielkie, miało niespełna osiem kroków długości i cztery szerokości. Panował w nim wieczny półmrok. Przez jedyne maleńkie okienko wpadało do środka niewiele światła, zaś drzwi wejściowe były tak niskie, że wchodząc do izby trzeba było pochylić głowę, żeby nie uderzyć czołem w ościeżnicę. Miejsca w środku było również niewiele. Wystarczyło go dla jednej osoby, która miała go do swojej dyspozycji w miarę dużo, kiedy przebywała w bibliotece sama. Przy dwóch było jeszcze znośnie, lecz tylko wtedy, gdy obydwie zajęte były pisaniem, natomiast pojawienie się trzeciej osoby powodowało w izbie chaos i nieopisaną ciasnotę.

Trudno było nie przyznać racji ojcu bibliotekarzowi, że nieustannie naciskał na opata, chcąc wymóc na nim przeniesienie biblioteki z dawnej zakrystii do dwóch przestronnych jasnych izb w dobudówce, którą ojciec przełożony zamierzał oddać do użytku latem przyszłego roku.

Adalbert usłyszał chrzęst żwiru i szybkie kroki na ścieżce prowadzącej do biblioteki. Przerwał spacer po izbie, zatrzymał się na środku pomieszczenia i zwrócił się w stronę wejścia przekonany, że powraca ojciec Izidor.

Po krótkiej chwili drzwi otwały się na całą szerokość, stanął w nich opat i zatrzymał się na progu sprawiając, że w izbie zapanował półmrok, w którym ciężko mu było cokolwiek dostrzec. Kiedy jego oczy przywykły do półmroku i ujrzał Adalberta, zdecydował się wejść do środka.

— A cóż to, sam gospodarzysz? — zdziwił się opat i nie czekając na odpowiedź chłopca ciągnął dalej. — Jak



tam twoje obowiązki? Wywiązujesz się z nich zapewne dobrze, bowiem ojciec Izydor bardzo z ciebie zadowolony. Mówi, żeś zdolny i robisz postępy. To dobrze, bardzo dobrze — opat chodził po bibliotece i zaglądał w każdy kąt. — Mnie to również cieszy — opat przerwał, zatrzymał się przy leżącym na ławie pulpicie, wziął w dwa palce pergamin, podniósł go do oczu i przyglądał mu się z wielkim zaciekawieniem. — Sam pisałeś? — spytał, a kiedy otrzymał od Adalberta twierdzącą odpowiedź, ciągnął dalej. — Przyzwoita robota. Całkiem dobra. Co prawda ogonki niedokręcone i brzuszki zrobione tu i ówdzie na grzbiecie, ale jak na tyle praktyki to całkiem przyzwoicie.

Opat odłożył pergamin, zbliżył się do Adalberta, ujął chłopca za podbródek, uniósł w górę jego twarz i wpatrywał się w nią nie mogąc oderwać od niej oczu. Po chwili wahania dotknął palcami policzka chłopca i zaczął go głaskać drżąc na całym ciele, czując jak miękną mu kolana, jak słabnie i oblewa się potem, jak legną się w nim straszne myśli, nad którymi nie potrafi zapanować. Patrzył na Adalberta jak urzeczony nie mogąc oderwać od chłopca wzroku. Zaczął się cicho modlić starając się skupić na modlitwie i odzyskaniu kontroli nad nieposłusznym umysłem. Po chwili, w na wpół świadomym odruchu, odskoczył od Adalberta, podszedł na miękkich nogach do amarii<sup>1</sup>, zdjął z półki manuskrypt, podszedł z nim do okna i zaczął go głośno czytać nie rozumiejąc zupełnie tego, co czyta — ani znaczenia pełnych zdań, ani sensu pojedynczych słów.

Ciepłe słowa opata napełniły Adalberta dumą, zaś dotknięcia jego aksamitnej dłoni i głaskanie opuszkami palców po policzku wprowadziły chłopca w stan błęgiego oszołomienia. Nikt go jeszcze tak czule jak opat nie potraktował

---

1 szafa na książki

wał. Ani wyrozumiały i serdeczny brat Izydor, ani tym bardziej oschły i bardzo zasadniczy mistrz Symeon. Kiedy tylko Adalbert poczuł na policzku muśnięcie palców opata, krew uderzyła mu do głowy, serce rozkołysało się jak dzwon, a w jego uszach rozszumiały się wody wzburzonej rzeki. Zdezorientowany zamknął oczy i trwał w tym nieznanym sobie stanie poddając się z lubością błogiemu oszołomieniu. Ocknął się dopiero wtedy, gdy usłyszał głos opata. Nie rozumiał, co opat mówi do niego. Słyszał jedynie jednostajny szum jego słów, daleki i niewyraźny, po chwili bliższy, donośniejszy, który zmienił się bardzo powoli, opornie, jakby przebijał się do jego uszu przez grubą ścianę, w pojedyncze słowa.

— Jesteś urodziwym młodzieńcem, chłopcze — mówił opat zduszonym głosem. — Twoja cera, twarz, oczy, włosy — ojciec przełożony zamilkł, przełknął ślinę i ciągnął dalej. — Gdybyś został przebrany w suknie, trudno byłoby cię odróżnić od niewiasty. Powiedz mi chłopcze, czy zdarzyło się tobie — opat przerwał i natychmiast się poprawił. — Czy zauważyłeś, żeby któryś z braci patrzył na cię tak — opat znowu przerwał najwyraźniej zmieszany tym, o co chciał zapytać. — Patrzył inaczej, niż zwykle. Nie wiem, jakie słowo jest najodpowiedniejsze, więc zapytam cię w ten sposób. Czy zdarzyło się, że któryś z braci dziwnie się tobie przyglądał?

— Czasami, ojcze.

— A czy chciał cię dotykać? A może dotykał? Albo też głaskał? — opat poczerwieniał. — Ale długo. I jakby, specjalnie. Na przykład po twoich ramionach? Albo po pośladkach? Albo gdziekolwiek indziej?

— Nie, ojcze.

— A czy któryś — opat zawahał się — czy któryś z braci sadzał cię na swoje kolana?

— Nie.

— Nigdy? — nie ustępował opat.  
— Nigdy, ojczu.  
— I nie czynił ci też żaden nieprzyzwoitych propozycji? — dopytywał się opat.  
— Nie, ojczu przełożony.  
— A może namawiał cię, żebyś się rozebrał, a było wtedy akurat bardzo gorąco i on, dla ochłody, proponował ci w rzece wspólną kąpiel?  
— Ja się boję wody, ojczu — odpowiedział Adalbert, u którego już sama myśl o rzece toczącej spienione wody wywoływała drżenie ciała i popłoch myśli.  
— A brat Izydor? Albo mistrz Symeon? — dążył nieustępliwie opat.  
— Brat Izydor traktuje mnie jak ojciec, a mistrz Symeon — Adalbert zawahał się — jest dla mnie bardzo wymagający, surowy i nigdy mi nie pobłąża — dodał chłopiec z niechęcią.  
— Nie oceniaj jego postępowania nazbyt pochopnie, mój chłopcze. Nie kieruj się też w stosunku do niego uprzedzeniami. Surowość ojca Symeona nie jest wcale oznaką braku uczucia, jakim cię darzy — odparł opat.  
— Moje postępowanie też cię zapewne dziwi, jak i to wypytywanie o różne sprawy. Lecz ja tak muszę, drogi chłopcze, ponieważ obiecałem twojemu ojcu chronić cię i strzec jak własnego syna. A musisz wiedzieć, że niebezpieczeństwa przybierają miłe człowiekowi postacie i czyhają na niego wszędzie. Gdybym zaniedbał się w swoim obowiązku i stanął przed obliczem twoich rodziców, jak spojrzaliby im w oczy? Co bym im odpowiedział, gdyby mnie o to pytali? Oddaliśmy pod twoją opiekę, co mieliśmy najcenniejszego z przeświadczeniem, że będziesz strzegł naszego skarbu, a ty oddałeś go złu przez zwyczajne zaniedbanie. Więc nie lepiej było nam powiedzieć, że nie chcesz? Że odmawiasz? Że nie czu-

jesz się na siłach? Czemu nas zawiodłeś!? — opat wznosił w górę rozłożone ręce, podążył za nimi spojrzeniem i znieruchomiał. Trwał w tej pozycji skamieniały długą chwilę, po czym powoli opuścił ręce, przeniósł wzrok na Adalberta i westchnął. — Co bym im wtedy odpowiedział? *Mea culpa?*<sup>1</sup> — opat przerwał i po krótkiej chwili ciągnął dalej. — Tak, moja. I tylko moja. Nikogo innego. I żadnego dla mnie usprawiedliwienia. Żadnego odpuszczenia. Nigdy, przenigdy, chłopcze. Ani tu, na ziemi, ani tam — opat podniósł w górę wzrok i trwałby w tej wzniosłej, uduchowionej postawie, gdyby nie odgłos szybkich kroków, które były coraz wyraźniejsze, coraz bliższe, tak że niebawem słychać było charakterystyczne szuranie sandałów tuż pod drzwiami biblioteki.

Opat chrząknął, spojrzał niepewnie na manuskrypt, który trzymał w dłoni, zastanawiał się przez chwilę, co z nim zrobić, w końcu uniósł go w górę na wysokość oczu, jakby chciał go czytać, lewą stopę wysunął pół kroku do przodu, żeby widać było spod habitu ciżmę<sup>2</sup>, prawą dłonią objął brodę, uniósł brwi i utkwiał wzrok w drzwiach na wysokości górnej framugi. Zaledwie skończył swoje przygotowania do spotkania z nadchodzącym gościem, drzwi otworzyły się i stanął w nich zasapany brat Izydor z twarzą poczerwieniałą z wysiłku i zroszoną kropelkami potu.

Bibliotekarz obrzucił szybkim spojrzeniem całe pomieszczenie, ujrzał opata i uśmiechnął się uradowany.

— Ojciec na mnie czeka, a ja tymczasem dłużej zabawiłem, bo i u brata szafarza, i u skarbnika, i do ojca przełożonego również, ale was nie zastałem — tłumaczył się pośpiesznie bibliotekarz robiąc krótkie przerwy dla zła-

---

1 Moja wina (łac.)

2 popularne obuwie średniowieczne

pania tchu — więc zaraz w te pędy tutaj, z powrotem, domyślając się, że najpewniej będziecie w bibliotece, żeby zobaczyć...

— Nie szkodzi, bracie. Nic nie szkodzi — przerwał ojcu Izydorowi opat. — My tu tymczasem z Adalbertem, pod waszą nieobecność, przeglądaliśmy co trzeba z rozeznaniem i wiedzą, tak że nie kłopotcie się, bo i plany przecież wasze znamy i dokonania też nie są nam obce. Ale o szczegółach lepiej będzie nam się mówiło na osobności, bowiem nie o wszystkim, jak sami wiecie, można publicznie — zaznaczył opat dając ojcu bibliotekarzowi do zrozumienia, że przyszedł do niego na poufną rozmowę i każdy poza nimi, staje się intruzem.

Słowa opata i wymowne spojrzenie ojca Izydora uzmysłowiły Adalbertowi, że jego obecność w bibliotece jest niepożądana. Chłopiec skłonił głowę przed zakonnikami na znak szacunku i wyszedł z biblioteki zamykając za sobą drzwi.

**M**istrz Symeon stał na środku kaplicy milczący, dziwnie niespokojny, z twarzą znamionującą napięcie połączone z rozdrażnieniem i spod przymrużonych powiek przyglądał się freskowi, na którym bosy zakonnik w brązowym habicie, przepasany białym sznurem z trzema guzami, karmił turkawki okruszkami chleba.

Malowanie nie szło dzisiaj ojcu Symeonowi zupełnie. Nie pomogła mu poranna modlitwa ani kontemplacja. Nie uspokoił jego duszy samotny spacer w przyklasztornym ogrodzie, leniwy ciurkot wody w potoku ani miarowe mielenie koła w klasztornej młynie.

Takie trudne chwile nawiedzały mistrza Symeona coraz częściej. Malarz nazywał je napadem starostki, zrzucając całą winę za stan swojego ducha na podeszły wiek,

napadem zaś dlatego, ponieważ pojawiały się nagle, wprowadzały go w stan dziwnego napięcia, niepokoju i rozdrażnienia, odbierały mu wewnętrzny spokój i znikwały pozostawiając go rozkojarzonego, bezradnego, niezdolnego do malowania.

W takich właśnie chwilach malarz bardzo potrzebował obecności drugiego człowieka, bliskiego, z którym łączyłyby go duchowe związki, którego lubił i szanował. I nie chodziło o współczucie, jego rady czy też pomoc. Wystarczyłaby mu sama obecność i świadomość, że jest obok niego, na wyciągnięcie ręki, na odległość spojrzenia, na szeptane słowo. Taką potrzebę czuł również teraz, natarczywą, natrętą, nieustępliwą.

Patrzył z narastającą niechęcią na fresk, który w jednej chwili stał mu się tak obojętnym, że zaczął odczuwać niesmak widząc w nim jedynie chaotyczną, bezsensowną plataninę kolorowych plam, linii i kresek zachodzących na siebie i mieszających się z sobą bez jakiegokolwiek związku, wywołujących w nim zawstydzenie z powodu widocznych, jak na dłoni, marnych umiejętności ich autora. Ogarnęło go zdziwienie i złość, że ktoś taki bierze się za malowanie. Stał przed freskiem strapiiony, rozbity wewnętrznie, rozkojarzony, zawiedziony, niezdolny do myślenia, tracąc poczucie rzeczywistości. I trwałby w tym stanie nie wiadomo jak długo, nie wiadomo z jakim skutkiem dla rozedrganego wnętrza, gdyby jego uwagi nie zwróciło pojawienie się Adalberta, który wszedł do kaplicy, zatrzymał się przed freskiem i patrzył na malowidło z niekłamany zachwytem w oczach.

— Czy ja dobrze widzę, czy może tylko śnię — burknął malarz.

— Nie wiedziałem, mistrzu, że taki będzie — zaczął tłumaczyć się chłopiec stropiony szorstkim przywitaniem

malarza — bo przecież nie widziałem go takim i dopiero teraz...

— A jakim to sposobem mogłeś wiedzieć, skoro porzuciłeś malowanie dla pisania przekonany, że pióro jest lepsze od pędzla, bo samo pisze — przerwał mu malarz.

— Wcale tak nie myślałem, ojczy.

— Niech ci będzie — mruknął mistrz Symeon. — Ale jeżeli wcześniej nie widziałeś, jak mówisz, to napatrz się mu do woli, tylko nie piej peanów<sup>1</sup> na moją cześć, bo mnie nimi nie kupisz — dodał malarz i nie mogąc opanować rosnącego rozdrażnienia wszedł na rusztowanie i zaczął przygotowywać w kamiennych miseczkach farby w nadziei, że monotonia tego zajęcia uspokoi go i przepełdzi jego zły nastrój.

Fresk, umieszczony między dwoma oknami w zacięnionej wnęce z łukowym sklepieniem, był w końcowej fazie nanoszenia kolorów. Dzielne światło, które padało na malowidło z okien po jego prawej i lewej stronie, krzyżowało się przed freskiem zmieniając jego płaskie tło w daleką głębię z lekko przymglonym krajobrazem, zamkniętym na horyzoncie łagodnymi wzgórzami. Na jednym z nich leżało otoczone obronnym murem miasteczko z niewielkim kościółkiem. Przed miasteczkiem, po rozległej równinie, przecinając zielone łąki i uprawne pola, toczyła swoje powolne wody leniwa rzeka. Na polach panował ożywiony ruch. Żniwiarze żęli zboże, oracze poganiali zaprzęgnięte do pługów woły, a długorogie krowy i wełniste owce skubały beztrósko bujną trawę. Na pierwszym planie, w centralnej części fresku, stał bosy zakonnik w brązowym habicie przepasanym długim białym sznurem. Mnisi kaptur zarzucił na plecy. W lewej ręce, przyciśniętej do piersi, trzymał brewiarz. Na prawej, wyciągniętej przed siebie, siedziała turkawka i wy-

---

1 pieśni pochwalne

dziobywała z niej okruszki chleba. Kilka innych gołębi namalowano w locie, lub też w chwili składania skrzydeł, z czego należało wnosić, że one także usiądą na dłoni bosonogiego mnicha, żeby pożywić się okruszkami chleba. Po lewej stronie zakonnika rósł rozłożysty dąb, po prawej jesion z koroną przyciętą tak wysoko, że widać było grubą pień drzewa i kikuty gałęzi z siedzącymi na nich turkawkami, zajętymi czyszczeniem swoich piórek, spokojnymi, więc zapewne już nakarmionymi. Twarz zakonnika była jeszcze nieukształtowana, zaledwie naszkicowana cienką, delikatną kreską z niezbyt dokładnie zaznaczonym obrysem jego oczu, warg, prostego nosa i łagodnego podbródka.

Adalbert patrzył na fresk chłonąc każdy jego szczegół, każdy najdrobniejszy detal, porównywał je z rzeczywistymi i odnajdując w nich te same cechy, zdumiewał się mistrzostwem ich wykonania.

Chłopiec nie miał sposobności oglądać malarza pracującego nad swoim dziełem. Zwykle widział końcowy efekt jego twórczego trudu w postaci ikony, rzadziej obrazu czy ściennego malowidła. Postacie świętych, biblijne sceny rodzajowe, wykonane według obowiązującego kanonu, nie budziły w Adalbercie innych doznań poza szacunkiem, jaki mu wpojono dla świętych postaci umieszczanych na malowidłach.

Nie inaczej było w przypadku mistrza Symeona, z którym Adalbert był związany emocjonalnie a codzienne obcowanie z nim weryfikowało wyobrażenia chłopca o malarstwie, sprawiając, że mistrz Symeon, człowiek w podeszłym wieku, pospolitego wyglądu i takich też manier, nie wyróżniał się spośród innych współpraci niczym szczególnym.

Takie właśnie wyobrażenie mistrza Symeona pogłębiało się w Adalbercie nieustannie utwierdzając chłopca



w coraz chłodniejszym stosunku do malarza. Kiedy Adalbert zauważył schadzki mistrza Symeona z opatem poza murami klasztoru, ich gorączkowe rozmowy, porozumiewawcze gesty i tajemnicze znaki czynione przy innych, obojętność chłopca do malarza przerodziła się w chłód, chłód w niechęć, a ta w pogardę i wrogość.

Mistrz Symeon był samotnikiem, miał swoje dziwaczne, niezrozumiałe dla otoczenia przyzwyczajenia i nawyki. Był oschły i szorstki w obejściu. Nie dbał zupełnie o swoją popularność. Nie zabiegał też o szacunek, uznanie ani poklask. Kiedy zauważył, że Adalbert oddala się od niego coraz bardziej, zniechęcony swoim nieudanym postępowaniem, rozgoryczony brakiem efektów swoich starań poddał się i przestał zabiegać o stworzenie jakiegokolwiek, choćby najwątleszej więzi łączącej go z chłopcem.

Nadzieja na odmianę beznadziejnej, zdawało się malarzowi, sytuacji, powróciła wraz z zainteresowaniem Adalberta manuskryptami. Na krótko jednak. Książki pochłonęły chłopca tak bardzo, że przestał przychodzić do kaplicy pomagać ojcu Symeonowi w przygotowaniach do malowania fresku, co czynił wcześniej bez entuzjazmu, ale z niedającą się ukryć ciekawością i niewielkim, ale jednak zawsze, jakimś zainteresowaniem.

— Twój zachwyty, chłopcze, jest intuicyjny — odezwał się mistrz Symeon rzucając krótkie, szybkie spojrzenia znad miseczki, w której ucierał pigment. — Ale ma to swoje racjonalne uzasadnienie. Gdy rozum śpi, a my wiemy niewiele, lub też nie wiemy nic, ku prawdzie prowadzi nas intuicja. Bo sam, chłopcze, przyznasz, że o świętym Franciszku wiesz niewiele i nic ponad to, co jedynie czujesz patrząc na malowidło.

— Nic, a nic mistrzu — przyznał szczerze chłopiec.

Adalbert pomagał malarzowi w pracach przy fresku od pierwszych chwil, jednak zajęcia, jakie wykonywał, nie kojarzyły mu się wcale z malarstwem. Kiedy mistrz Symeon przerzucał na klasztorным dziedzińcu tarcicę, wybierał z niej odpowiednie deski, przycinał je na miarę, wnosił do kaplicy i budował z nich rusztowanie, chłopiec uważał jego zajęcia za godne cieśli.

Przygotowanie podłoża pod fresk Adalbert uznał za murarkę. Mieszanie wapiennej zaprawy w drewnianej kadzi odpowiednie dla murarskiego pomocnika. A całe to zajęcia za monotonne, nudne i bezsensowne. Nakładanie zaprawy na ścianę, wygładzanie jej i polerowanie w obłokach kłębiącego się pyłu, okazały się dla chłopca nie do zniesienia i zniechęciły go do malarstwa ostatecznie. Adalbert nie widział w malowaniu niczego nadzwyczajnego – żadnego powołania, uduchowienia, cudu tworzenia, o których z takim uniesieniem opowiadał mistrz Symeon. Zamiast nich były zgięte plecy, rany na dłoniach, pot, dokuczliwe bóle mięśni i piekielne zmęczenie, które po znojnym dniu odbierały chłopcu siły i nie pozwalały na spokojny sen. Codzienna monotonia zajęć i ich uciążliwa jednostajność nie sprawiały mu żadnej przyjemności, nie przynosiły satysfakcji, nie dawały najmniejszego nawet zadowolenia z wykonywanej pracy. Nic dziwnego, że niechęć Adalberta do malarstwa pogłębiała się z każdym dniem, podobnie jak jego stosunek do mistrza Symeona, którego przestał uważać za człowieka obdarzonego nadprzyrodzonymi umiejętnościami.

Teraz jednak, kiedy stał przed freskiem rozróżniając każdy jego szczegół, pojmując, o czym malowidło opowiada swoimi kolorami, kształtami i przestrzenią, wszystkie jego odczucia znikły niczym zdmuchnięte przeciągiem płomyki świec.

— No i jak go teraz odnajdujesz, chłopcze? — zapytał mistrz Symeon kończąc przygotowanie pigmentów i zabierając się do malowania twarzy świętego Franciszka.

— Pojmuję go tylko duszą, ojcze, bo rozumem niewiele — odparł chłopiec. — Nie potrafię wam tego wszystkiego, co tam jest, nazwać, ani też o tym, co widzę i czuję, opowiedzieć wam tak od razu, na poczekaniu.

— Słowa są zbyt giętkie, żeby malarz mógł nimi siebie wyrazić, dlatego wybrał pędzle. Będziesz malarzem, Adalbercie — powiedział zakonnik patrząc z satysfakcją na chłopca. — Będziesz — powtórzył widząc zdumienie na twarzy Adalberta — bo jest w tobie to, co z człowieka czyni malarza.

— Ależ mistrzu, przecież ja nie potrafię malować?

— I cóż z tego, że nie potrafisz — odparł mistrz Symeon. — Nie potrafisz teraz, ale za kilka lat — malarz umilkł, spojrział na fresk i dodał. — Za kilka lat, chłopcze, będziesz malował po wielokroć lepiej. Żeby być malarzem, potrzeba talentu i umiejętności. Talent dostaje się od Boga, umiejętności zdobywa się samemu. Talent masz. Umiejętności nabędziesz. Moja w tym głowa. Więc jak na malarza przystało, mów, drogi chłopcze, o malowidle odważnie i bez ogródek wszystko, co masz mi o nim do powiedzenia.

— Świętemu Franciszkowi brakuje oblicza, dlatego — zaczął chłopiec, przerwał, lecz kiedy zobaczył zachęcające spojrzenie malarza, mówił dalej — dlatego malowidło pozbawione jest odpowiedniego nastroju i godnego tej postaci wyrazu. Chciałem przez to powiedzieć — Adalbert przerwał i po krótkiej chwili wahania dodał — że jego twarz nie może być surowa.

— Też tak myślałem, lecz bez tej, co ty, pewności — odparł mistrz Symeon, w którym od kilku dni walczył za-

chowawczy racjonalizm z gnębiącą go potrzebą odmiennego niż dotąd malowania i o mały włos nie przesądził dzisiejszego przedpołudnia o zwycięstwie kanonu nad jego nowym, twórczym spojrzeniem.

— Ja tak czuję, mistrzu.

Malarz nie odpowiedział. Stał na rusztowaniu zamyślony, nieobecny, wpatrzony w malowidło. Twarz miał rozgorączkowaną, oczy mu błyszczały, źrenice rozszerzyły się. Brał pędzle, maczał je w miseczkach z farbami i pewnymi pociągnięciami, bez najmniejszego zawahania malował oblicze świętego Franciszka, napełniając je życiem. Kiedy skończył je malować, odłożył pędzle, zsunął się z rusztowania, przywołał do siebie niecierpliwym ruchem dłoni Adalberta i zaczęli w gorączkowym pośpiechu rozbierać drewniane rusztowanie. Po kilku chwilach usunięte deski odsłoniły przed nimi fresk pozwalając im objąć go jednym spojrzeniem.

— A teraz, chłopcze? — spytał malarz nie odrywając oczu od swojego malowidła.

Adalbert milczał.

Podmuch wiatru przeleciał między koronami drzew, zakotłosał gałęziami, zaszeleścił liśćmi i skuszony dźwięcznym tonem kościelnej sygnaturki popędził w stronę dalekiego miasteczka. Pokrzykiwał na powolne woły idący za pługiem oracz, beczał żałośnie w zagajniku zagubiony baranek, który odbił się od stada i nie mógł odnaleźć do niego powrotnej drogi, gruchały na jesionie turkawki, szumiała monotonnie rzeka tocząca przez zieloną dolinę swoje leniwe wody. Bosy zakonnik w brązowym habicie zastygł w bezruchu czekając na nadlatujące turkawki. Jego pogodna twarz, o łagodnych, miękkich rysach, promieniowała ciepłem a spojrzenie migdałowych oczu ofiarowało poczucie pewności i bezpieczeństwa.

— Wszystko żywe, mistrzu — chłopiec zwrócił na malarza rozgorączkowane spojrzenie. — I prawdziwe. Wasze turkawki. Oracz. Baranek. Ja je słyszę.

— Oczywiście, mój chłopcze — przytaknął cichym głosem malarz — oczywiście — powtórzył jeszcze ciszej niż poprzednio, położył dłoń na głowie chłopca i pogłaskał go po włosach.

— Wszystkie. Wszystkie bez wyjątku — szeptał Adalbert patrząc na fresk, to znowu zwracając oczy na malarza.

— I z tego powodu, chłopcze, będziemy mieli poważne kłopoty — powiedział mistrz Symeon.

Opat chodził po kaplicy wolnym krokiem, przystawał przed freskiem, wysuwał do przodu prawą nogę, splatał ręce na piersi, kładł na brzuchu lewe przedramię, opierał na nim łokieć prawej ręki, podpierał dłonią brodę i wpatrywał się w malowidło. Nagle ciężko wzdychał, potrząsał ramionami, jakby coś go uwierało, ponownie wzdychał, podnosił w górę głowę, wodził po sklepieniu oczami, krzywił się, opuszczał głowę i znowu zaczynał chodzić po kaplicy wpatrzony w kamienną posadzkę, jakby na niej chciał ujrzeć to, czego wcześniej nie udało mu się zobaczyć ani na sklepieniu kaplicy, ani na fresku.

Mistrz Symeon stał parę kroków od malowidła zasępiiony, z głową odchyloną lekko do tyłu i zwróconą na fresk w taki sposób, jakby całą uwagę skupiał na malowidle, lecz takie ułożenie głowy pozwalało mu dyskretnie obserwować chodzącego opata.

— Och, bracie Symeonie, bracie Symeonie — wzdychał opat, spoglądał smutnym wzrokiem na fresk, potem z wyrzutem na malarza i znowu wzdychał.

Od kilku dni opatem targały wątpliwości, z którymi nie mógł sobie poradzić. Nim jednak ojciec przełożony im uległ, najpierw zawładnął nim niepokój. Pojawił się w chwili, kiedy przyszedł do niego mistrz Symeon i powiedział jedno, krótkie słowo – skończyłem. Kiedy tylko padło ono z ust malarza, opat poczuł pod sercem bolesne ukłucie i już wiedział, że ta szpila jest zapowiedzią nadciągających kłopotów. I nie mylił się.

Kilkanaście dni wcześniej, kiedy opat otwierał list ojca Damazego, też poczuł podobne ukłucie pod sercem i jego złe przeczucia również się sprawdziły. Ojciec Damazy pisał, że zmarła matka Adalberta sugerując, iż najprawdopodobniej została ona otruta. Wiadomość była dla opata niepomyślna z dwóch powodów. Chłopiec stracił rodzicielkę i całą odpowiedzialność za jego wychowanie, a być może również za jego przyszłe życie, nie wspominając już o jego bezpieczeństwie, spadła teraz na opata. Niepokój ojca przełożonego wzbudziło także samo podejrzenie opata Damazego. Jeżeli matka Adalberta została otruta, jej śmierć oznaczała, że zagrożony jest także chłopiec, opat oraz wszyscy ci, którzy pomogli margrawowi w umieszczeniu syna w klasztorze.

Opat zatrzymał się przed freskiem, uniósł głowę i wpatrując się w pogodne oblicze świętego Franciszka począł odmawiać koronkę. Ojciec przełożony nie bał się o siebie. Nie lękał się też śmierci, którą uważał za piękne i godne zwieńczenie ludzkiego życia. Nie sądził również, żeby ktokolwiek poważył się podnieść na niego rękę. Co prawda zdarzały się podobne występkі, więc należało się liczyć również z takim niebezpieczeństwem, lecz opat nie wierzył w tego rodzaju zagrożenie. Jego obawy i niepokoje miały szerszy kontekst. Opat bał się zaniebdania ze strony przeciwników margrafa, którzy, jak dotąd, hojnie obdarowywali klasztor nadaniami, łożyli

szczodłą ręką znaczne sumy na jego utrzymanie, wspierali go i osłaniali swoimi wpływami i znaczeniem. Jeżeli więc było prawdą, że margrabinii została otruta a ręka zemsty okazała się zbyt krótka, żeby dosięgnąć jej męża w Palestynie, nie mogła także z wiadomych powodów dosięgnąć jej syna, pozostawał jeszcze klasztor, który za udzieloną margrafowi pomoc mogła ukarać bardzo dotkliwie, odcinając go od pieniędzy, przywilejów i poparcia.

Opat skończył koronkę i patrzył przygnębiony na świętego Franciszka nie znajdując u niego pocieszenia ani współczucia w tej trudnej dla siebie chwili. Pogodna twarz świętego o łagodnych miękkich rysach sprowadzała na opata czarne myśli, powodując w jego głowie jeszcze większy zamęt.

Opat nie mógł zrozumieć, czym kierował się mistrz Symeon nadając twarzy świętego tak niefrasobliwą minę, całej postaci tak nonszalancką postawę oraz do jakich refleksji miał przyszłych pielgrzymów skłaniać święty Franciszek w tak nieprzystojnej dla siebie czynności, jak karmienie ptactwa.

Ojciec przełożony wyrzucał sobie, że zbyt pochopnie uległ argumentom mistrza Symeona i zgodził się na projekt, który od początku nie przypadł mu do gustu. Nazbyt łatwo dał także wiarę opatowi Damazemu, który przekonał go, że nie ma w kraju lepszego artysty. Trzeba było zrezygnować z projektu malarza, nie wdawać się z nim w żadne dyskusje, wymusić na nim akceptację swojego pomysłu, kontrolować codziennie jego pracę sprzeciwiając się każdemu odstępstwu i domagać się naprawiania najdrobniejszych błędów nie zważając na to, czy zrobione one zostały przez niego świadomie, czy też tylko przez pośpiech lub niedopatrzenie, wyrzucał sobie rozgoryczony opat.

— Ja was, ojcie opacie, nie rozumiem — odezwał się mistrz Symeon, kiedy opat przerwał swój marsz po kaplicy, zatrzymał się przed freskiem, podniósł głowę i patrzył na malowidło z ostentacyjnym niezadowoleniem.

— A co tu jest do rozumienia — odburknął opat czując narastające wzburzenie.

— Widzę, że się wam nie podoba.

— A waszym zdaniem, mistrzu — opat podkreślił z naciskiem ostatnie słowo — powinno mi się podobać?

— Jesteście czuli na uroki przyrody, wzruszacie się...

— I to jest dla was wystarczający powód, żebym się zachwycał wyobrażeniem świętej osoby, która karmi kury? — nie wytrzymał opat.

— Ptactwo, ojcie opacie, ptactwo — odparł urażony malarz.

— Kur do ptactwa nie zaliczacie? — zdziwił się opat. — A dlaczegoż to, jeśli łaska? — zapytał z kpina.

— Dzikie ptactwo. Dzikie — podkreślił z naciskiem malarz. — Konkretnie turkawki, opacie. A to już jest różnica, którą powinien dostrzegać każdy.

— Kury, turkawki, dzikie kaczki i co tam jeszcze chcecie, dla mnie, i owszem, nie jednakie ani ze względu na ich postać, ani ich naturę. Co też, możecie być pewni, rozróżniam bez trudu — powiedział opat. — Ale mnie idzie o rzecz ważniejszą niż przymioty ptactwa, mistrzu. Mnie idzie o sposób przedstawienia świętej osoby, który tej świętości zaprzecza i nie zawaham się nawet powiedzieć, że jej urąga. Ot, co! — zachnął się opat, odwrócił się na pięcie i zaczął chodzić po kaplicy szybkim, nerwowym krokiem patrząc na posadzkę, jakby u niej szukał wsparcia w tej ciężkiej chwili.

Nie tak ojciec przełożony wyobrażał sobie zwieńczenie swojego pomysłu. Zgodnie z jego zamysłem fresk miał przedstawiać świętego Franciszka nawracającego



zblakanych, napominającego nieposłusznych, nauczającego pokornych, z czego powinno wypływać przekonanie, że święty jest ojcem wymagającym i surowym, lecz dla wszystkich jednakowo sprawiedliwym. Było wiele ważnych wydarzeń w jego życiu, które z powodzeniem można było do przedstawienia takiego właśnie przesłania wykorzystać.

Tak się jednak nie stało i to bolało opata najdotkliwiej. Gdyby ojcu przełożonemu powiodło się zrealizowanie jego zamysłu, do klasztoru ciągnęłyby tłumy pielgrzymów ze wszystkich stron kraju. Spełnienie tych planów było bliskie, nieomalże na wyciągnięcie ręki. Opat zabiegał w generalnej kapitule o zgodę na wprowadzenie w klasztorze kultu świętego Franciszka z prawem odprawiania dwóch mszy tygodniowo z dwunastoma czytaniaми. Jego starania popierali wpływowi, życzliwi mu wyżsi duchowni, wspierała go także swoim autorytetem i zaangażowaniem księżna Konstancja. Przed niespełna rokiem opat otrzymał z Palestyny list, w którym margraf donosił mu, że jest w posiadaniu drzazgi ze świętego krzyża, na którym ukrzyżowano Pana Jezusa, obiecywał dostarczyć relikwię do kraju najszybciej jak to będzie możliwe i przekazać ją klasztorowi, jako wotum za opiekę roztoczoną nad jego synem. Gdyby okoliczności przeszkodziły mu w osobistym spełnieniu złożonego przyrzeczenia, margraf powierzył wypełnienie tego zadania zaufanym rycerzom z najbliższego otoczenia.

Tak więc do zamknięcia projektu w całość brakowało opatowi jedynie obrazu przedstawiającego świętego Franciszka. Ale z tym, jak sądził w swojej naiwności ojciec przełożony, kłopot będzie miał najmniejszy. Wystarczyło znaleźć odpowiedniego wykonawcę, biegłego w sztuce malarskiej zakonnika, najlepiej takiego, który wy-

konał już wiele podobnych projektów ku zadowoleniu ich zleceniodawców.

Po długich rozważaniach ojciec przełożony zrezygnował z obrazu i zdecydował się na fresk umieszczony na ścianie, w łukowej wnęcie pomiędzy dwoma oknami, z których przez całe przedpołudnie padało słoneczne światło tworząc w tej części kaplicy nastrój niezwykle podniosłości działającej bardzo mocno na modlących się zakonników, czego opat doświadczał również wielokrotnie na samym sobie.

Pod freskiem, na wysokości oczu człowieka o średnim wzroście, na specjalnie skonstruowanym podwyższeniu, opat chciał umieścić szklaną szkatułę z relikwią margrafa. Z tych właśnie powodów na fresku miała być postać znamienita, charyzmatyczna, dumnej i wyniosłej postawy, przebywająca w otoczeniu książąt i królów. Kiedy zamiast niej opat zobaczył na fresku samotnego zakonnika karmiącego na leśnym pustkowiu turkawki, jego piękny ambitny pomysł runął w gruzach.

— Nie zrozumieliśmy się, bracie Symeonie, jak należy. Tak myślę — powiedział opat, zatrzymał się przed malarzem, położył swoją dłoń na jego ramieniu, potrząsnął nim energicznie i patrząc mu w oczy ciągnął dalej. — Oto i cała prawda. Uniosłem się na was niepotrzebnie, bez żadnej racji, powodowany wzburzeniem, więc wybaczcie moje niegodne zachowanie i złe słowa pod waszym adresem, ojcze Symeonie. Wybaczcie mnie, krewkiemu, ale umięjącemu przecież, jeśli taka jest potrzeba, przyznać się do błędu. Co czynię, prosząc was o wyrozumiałość tym śmielej, że przecież wy, jak nikt inny, doskonale rozumiecie, że moje słabości są chwilowe i biorą się wyłącznie z obaw o bieg spraw najwyższego rzędu.

— Daliście mi wolną rękę, opacie, mówiąc, chcę świętego Franciszka, więc wam go dałem — odparł mistrz Symeon.

— Tak powiedziałem, drogi bracie — opat schylił przed malarzem głowę. — Tak powiedziałem i tego się nie wypieram — ojciec przełożony wyprostował się i patrzył na malarza z niemym wyrzutem w oczach. — Lecz mówiąc tak, miałem na myśli zupełnie co innego, niż wy, bracie Symeonie. Ale to zupełnie co innego. I stąd to całe zamieszanie i nieporozumienie, którego sprawcami jesteśmy my, obaj. Ja, ma się rozumieć w większej części. Ale i wy, bracie Symeonie, również. Chociaż już w mniejszej. Ja, ponieważ wiedziałem, jakiego go chcę, a mimo to o takiego się u was nie dopominałem. Wy, ponieważ wiedzieliście, jaki będzie, a nie pokazaliście mi go. I nie byłoby tego wszystkiego, bo będąc tak doświadczonym malarzem, mogliście przecież bez trudu stworzyć go takim, jakiego go chciałem, jakiego sobie umyśliłem i wymarzyłem. A pragnąłem bardzo niewiele chcąc, byście go pokazali, jako pogromcę sułtana<sup>1</sup>.

— Nie wiem, opacie — odparł malarz z wahaniem — bo to, czego ode mnie wymagacie, jest dalekie od moich możliwości.

— Ja takich obaw nie mam, bracie Symeonie. Przy waszym talencie, umiejętnościach, tak przecież bogatej wyobraźni, dalibyście radę. To pewne. Dla was namalować taką scenę, to jak dla mnie, nie przymierzając, odmówić koronkę.

— Gdyby nawet udało mi się namalować, jak opat mówi, z wyobraźni, to jakże daleki byłbym wtedy od prawdy. Inny kraj, inni ludzie, inne obyczaje. A do tego jeszcze całe tamtejsze otoczenie — malarz przerwał, za-

---

1 sułtan Egiptu Melek-el-Kamel

myślił się na krótką chwilę, po czym mówił dalej. — Na przykład ich szaty. Albo tamtejsze drzewa. Owoce. Ptaki.

— A do czego to wszystko wam jest potrzebne? — zdziwił się opat.

— Do pokazania tamtejszej rzeczywistości. Ja tam nie byłem, więc jakże mam malować coś, czego nie widziałem na własne oczy. Nie pomacałem. Nawet nie dotknąłem. I dlatego nie wiem, z czego ono jest. Jakie ono jest z zewnątrz, ale także głęboko w środku, gdzie skrywa swoją istotę przed ludzkim okiem. A jakie dobrać światło? A jakie kolory? I jak je kłaść? — zastanawiał się malarz rzucając pytanie za pytaniem. W końcu stwierdził. — Można by z iluminacji. To prawda. Są też miniatury i sztychy, lecz one również niepewne, bo oglądane przez inne oczy, może już nawet trzecie, czwarte, lub jeszcze dalsze, więc za każdym razem zmieniane, poprawiane, przeinaczane a przez to dalekie od pierwowzoru. Więc, na czym się tutaj oprzeć?

— A po co się tym przejmować? — zdumiał się opat.

— Bo o wartości malowidła, jego wymowie i przesłaniu, decydują pomieszczone w nim szczegóły i detale, drogi opacie, więc one muszą być prawdziwe. I na tym malowidle — mistrz Symeon pokazał nieznacznym ruchem głowy na fresk — takie są. Dlaczego tak jest? A no, dlatego, że i one, i ich malarz urodzili się w tej samej krainie, piją tą samą wodę, oddychają tym samym powietrzem, to samo niebo mają nad sobą, tą samą ziemię pod sobą, a w sobie, tą samą północną duszę. A skąd są ci, którzy przyjdą do kaplicy, staną przed świętym Franciszkiem i spojrzą w jego oblicze? — zapytał malarz i nie czekając na odpowiedź opata mówił dalej. — A no, stąd. Z tej północnej krainy. I wszyscy oni piją tą samą wodę, oddychają tym samym powietrzem, to samo niebo

mają nad sobą i tak dalej, opacie, i tak dalej, żeby już się bez potrzeby nie powtarzać.

— Autorytet, bracie Symeonie — wtrącił opat patrząc na malarza błagalnym wzrokiem. — Mnie idzie o autorytet.

— Więc wy uważacie, że on go nie ma — zachnął się zakonnik i natychmiast poprawił się. — Chciałem powiedzieć, że go mieć nie będzie?

— Karmiąc ptactwo? — odpowiedział opat pytaniem na pytanie.

— Właśnie, karmiąc ptactwo — powtórzył malarz za opatem. — Ale nie byle jakie ptactwo. Dzikie. W dodatku turkawki. Bardzo nieufne, płochliwe, które każdy mieszkaniec tej krainy zna od dziecka i wie, że nie sposób je obłaskawić. A tymczasem one zlatują się ze wszystkich stron i jedzą mu z ręki. Czy to nie jest cud, opacie? — zapytał malarz i patrzył na opata wyzywająco nie pozwalając ojcu przełożonemu uciec spojrzeniem przed swoim wzrokiem i domagając się od niego, tym uporczywym wpatrywaniem się, tylko jednego, potwierdzenia.

— Zaiste — odezwał się niepewnym głosem opat, chciał umknąć spojrzeniem w bok, lecz widząc nieubłagany wzrok mistrza Symeona zrezygnował z powziętego zamiaru, wytrzymał twarde spojrzenie malarza, westchnął i powiedział. — Coś w tym jest.

**W**iadomość o przyjeździe księcia Henryka opat trzymał w tajemnicy zamierzając powiadomić o nim współbraci możliwie jak najpóźniej, najlepiej w ostatniej chwili, tuż przed przybyciem księcia, żeby nie budzić wśród nich zbędnej sensacji.

Odwiedziny gościa takiej rangi zdarzały się niezmiernie rzadko. Czym kierował się książę podejmując decyzję o przyjeździe do klasztoru, tego opat nie wiedział, chociaż różne myśli przychodziły mu do głowy.

Na dworze księcia nie działa się w ostatnim czasie najlepiej. Sojusz Henryka z królem czeskim<sup>1</sup> oraz otwarte poparcie go w konflikcie z królem rzymskim Rudolfem<sup>2</sup>, udział rycerzy księcia w wyprawie na Węgry, wreszcie odmowa przyjęcia z rąk Rudolfa tytułu księcia Rzeszy, poważnie pokrzyżowały polityczne plany Henryka. Nie spodziewana śmierć jego protektora, Otokara II, pod Suchymi Krutami<sup>3</sup> jeszcze bardziej skomplikowała sytuację księcia i spowodowała otwarte wystąpienia jego przeciwników w kraju.

Ojciec Damazy, opisując porwanie księcia w Jelczu i uwięzienie go we Wleniu, przepowiadał mu smutny koniec. Po klęsce księcia pod Stolcem, sprawy Henryka przybrały tak zły obrót, iż jego sytuacja wydawała się być beznadziejna. I zapewne stałoby się tak, jak wieszczył ojciec Damazy, gdyby książę w zamian za swoją wolność nie oddał wrogom szóstej części swojego księstwa, Śląska Odrzańskiego pod zastaw oraz nie wypłacił im w srebrze wysokiego okupu.

Po śmierci króla Czech, książę Henryk począł zabiegać o względy króla Rudolfa, spodziewając się, że z jego rąk otrzyma koronę polską. Właśnie wtedy dotarła do opata poufna wiadomość, iż książę za samo przyrzeczenie mu korony złożył Rudolfowi hołd lenny. Czy wiadomość ta była prawdziwa i na ile zgodna z faktami, tego ojcu przełożonemu ustalić się już nie udało, pomimo, że sprawdzał ją w wielu źródłach.

---

1 Przemysł Otokar II (1233-1278)

2 Rudolf I Habsburg (1211-1292)

3 26 sierpnia 1278 r.

Źle służył również księciu Henrykowi ciągnący się od wielu lat spór z biskupem wrocławskim<sup>1</sup> o ziemie zajęte po klęsce legnickiej<sup>2</sup> oraz łamanie przez księcia immunitetu sądowego wrocławskiego kościoła. Konflikt pomiędzy biskupem a Henrykiem stał się w ostatnich latach tak ostry, że zdesperowany biskup, wykorzystując poparcie papieskiego legata, rzucił na księcia klątwę, zaś na jego kraj, interdykt<sup>3</sup>.

Opat był przekonany, że po tak dramatycznych doświadczeniach Henryk stanie się ostrożniejszy, zmieni postępowanie i być może, odstąpi od ambitnych lecz, zdaniem opata, wielce nierealnych planów objęcia tronu polskiego. W toczącej się bezlitosnej walce o sukcesję księżę Henryk miał najmniejsze szanse spośród wszystkich pretendentów. Pomimo tego nie zrezygnował z ubiegania się o królewską koronę podporządkowując temu celowi całe swoje dotychczasowe życie. Żeby wzmocnić swoją pozycję poza granicami kraju i tam również zyskać poparcie dla swoich planów, księżę odprawił swoją pierwszą żonę Konstancję i poślubił córkę margrabiego Ottona, Matyldę.

Na rezultaty takiego postępowania nie trzeba było długo czekać. Wielu dotychczasowych stronników księcia odsunęło się od niego spodziewając się ostrej reakcji biskupa wrocławskiego, nieprzejednanego przeciwnika księcia, któremu tylko nieliczni, wspierający jawnie polityczne dążenia Henryka, mieli się odwagę przeciwstawić.

Pomimo wielu wątpliwości ojciec przełożony i tym razem stanął po stronie księcia. Kilkanaście lat wcześniej poparł Henryka i taka właśnie postawa przyniosła mu wtedy wymierne korzyści pomnażając majątek jego

---

1 Tomasz II Zaremba (zm. 1292r.)

2 bitwa pod Legnicą 1241 r.

3 zakaz odprawiania obrzędów religijnych

klasztoru, podnosząc jego osobiste znaczenie i stawiając go wśród kilku najbardziej wpływowych opatów w kraju. Na podobne korzyści opat liczył również teraz, uważając, że w im trudniejszym czasie wesprze księcia, tym sowitszą nagrodę otrzyma po jego zwycięstwie.

Wizyta księcia Henryka, wieloletniego protektora klasztoru i hojnego darczyńcy, była dla opata ważna z kilku powodów. Przydawała klasztorowi splendoru, poświadczała publicznie, że klasztor otoczony jest szczególną opieką, natomiast samemu opatowi dawała doskonałą okazję do przedstawienia księciu swoich osiągnięć, zapoznania dostojnego gościa z zamierzeniami jak też zaprezentowania mu potrzeb, których opat nie był w stanie realizować z powodu bardzo ograniczonych środków własnych.

Kilka dni przed wizytą, ojciec przełożony zebrał braci w prezbiterium i poinformował ich o przyjeździe księcia. Kiedy wiadomość stała się faktem, w klasztorze ruszyły pospieszne przygotowania na przyjęcie dostojnego gościa.

Żeby nie zostać zaskoczonym, opat na dwa dni przed zapowiadającym przyjazdem Henryka nakazał furtianowi wypatrywać księcia na głównym trakcie, Adalberta wysłał do bocznej furty, żeby obserwował przeprawę na rzece, zaś braciom pracującym na klasztornych polach oraz w ogrodzie rozkazał powiadomić go o każdym poczcie, jaki będzie zdążał do przeprawy na rzece.

Kiedy drugiego dnia gorączkowych przygotowań opat wczesnym przedpołudniem otwierał boczne drzwi kaplicy i udawał się na przedpołudniową modlitwę, przybiegł do niego zdyszany Adalbert z wiadomością, że czterech konnych przekroczyło bród na rzece, skręciło z głównego traktu i podąży zwartym szykiem w stronę klasztoru.



Opat w pierwszym odruchu zlekceważył informację chłopca i puścił ją mimo uszu. Dopiero po chwili, tknięty niepokojem, wybiegł z kaplicy i popędził ile sił w nogach do głównej bramy. Kiedy z pomocą brata furtiana i Adalberta otwierał obydwą skrzydła bramy, ujrzał przed nią księcia Henryka w towarzystwie trzech zbrojnych, którzy zsiadli już z koni i trzymając wierzchowce za uzdy, stanęli za księciem zwartym półkolem.

— I cóż, braciszku! — zawołał wesoło książę, po którym nie widać było najmniejszych uciążliwości długiego podróżowania. — Przyjmiecie pod swój dach strudzonych wędrowców?

Opat milczał z trudem łapiąc oddech.

Książę zeskoczył z konia, oddał wodze jednemu z towarzyszących mu zbrojnych, przekroczył bramę, zatrzymał się przed opatem i patrzył na ojca przełożonego spod przymrużonych powiek wyraźnie zadowolony z zaskoczenia, jakie sprawił swoim wcześniejszym przybyciem.

— Wszędzie, gdziekolwiek zechcecie się zatrzymać, jesteście u siebie, panie — powiedział opat kłaniając się księciu i dając ręką dyskretny znak furtianowi i Adalbertowi, żeby uczynili za jego przykładem to samo. — Bardzo jesteśmy radzi waszym odwiedzinom i pragniemy was, książę, zapewnić, że nasz ubogi dom i prosta strawa zawsze czekają na miłego naszym sercom gościa.

— Moi towarzysze są równie strudzeni jak ja — odparł książę. — Więc dla nich także proszę o gościnę. Koni nie rozkulbaczać — rozkazał zbrojnym widząc, że zabrali się za rozsiedlanie wierzchowców. — Popuście im popręgi i zaprowadźcie je na razie w zacienione miejsce — dodał, po czym zwrócił się do opata. — A tymczasem wy, ojczce, prowadźcie do kaplicy, bym mógł podziękować Panu za naszą bezpieczną podróż — powiedział

tonem nawykłym do wydawania rozkazów, informując ojca przełożonego o swoim zamierzeniu i patrząc jednocześnie z zaciekawieniem na Adalberta. — Później chciałbym też z ojcem przełożonym... ale na osobności — zastrzegł Henryk przyglądając się chłopcu. — A więc — księżę wyciągnął rękę w stronę kaplicy — idźmy i spełnijmy, cośmy obiecali — dodał i ruszył przed siebie nie oglądając się na zakonników.

Adalbert mierzony badawczym spojrzeniem księcia czuł się bardzo nieswojo. Kiedy zobaczył, że księżę idzie do kaplicy, chciał się dyskretnie wycofać i odejść, lecz przynaglany przez opata jednoznacznym gestem jego ręki udał się za nim do kaplicy.

Księżę Henryk klęczał przed balustradą, która oddzielała ołtarz od reszty kaplicy. Głowę miał pochyloną, czoło oparł na balaskach i modlił się półgłosem, jednak tak żarliwie, że Adalbert słyszał każde słowo jego pacierza. Co jakiś czas księżę unosił głowę, uderzał się w pierś zwiniętą lekko pięścią, na koniec przeżegnał się, podniósł się z kolan, poczekał, aż zakonnicy skończą się modlić, podszedł do bocznej ściany, zatrzymał się przed freskiem i zaczął mu się przyglądać z wielką uwagą.

— Kto go malował? — padło z ust księcia krótkie pytanie.

— Mistrz Symeon — pośpieszył z wyjaśnieniem Adalbert uprzedzając odpowiedź opata.

— Nie znam — odparł księżę. — Ale to nie jest powód, żebym nie miał przyznać, że widać w nim rękę mistrza. Dzieło bowiem jest na wskroś nowoczesne, bardzo odważne w formie, jak też w artystycznej wizji. Jednym słowem, ojciec — księżę zwrócił się do opata — malował go artysta świadomy swojego talentu i pewny swoich wielkich umiejętności.

Zainteresowanie księcia Henryka malowidłem opat uznał za naturalne, lecz pochwała fresku wywołała u ojca przełożonego konsternację. Opat wiedział, że książę otrzymał w młodości staranne wykształcenie, żywo interesował się kulturą rycerską i poezją, pisał wiersze, był w ważnych dla kultury europejskiej ośrodkach, stąd jego wszechstronne przygotowanie i wiedza dawały mu, zdaniem opata, niezaprzeczone prawo do publicznego wyrażania swoich opinii, lecz mimo tego, opat nie podzielał zachwytów księcia, uznając je za czysto grzesznościowe.

— Brakuje mu — opat wydał wargi i rzucił krótko — wyrazu.

— Wprost przeciwnie, ojczu — zaprotestował książę. — Fresk jest kompletny. Alegorie i odniesienia symboliczne są tak jednoznaczne, sugestywne i oczywiste, że nie pozostaje nic innego, jak tylko patrzeć i podziwiać autora za celność interpretacji. Trzy miesiące temu ukończyłem budowę rodowej kaplicy, więc chętnie zatrudnię malarza tego dzieła u siebie. Ścian do wypełnienia będzie miał wiele. Do tego wolną rękę, pełne zaufanie dla jego umiejętności i godziwe wielkiego artysty uposażenie obiecuję mu już teraz, nie widząc go na oczy. Co wy na to, ojczu?

— Będzie książę, jak rozkażesz — odparł opat.

— Chodźmy zatem zaczerpnąć powietrza — powiedział Henryk i ruszył do wyjścia. — Potem pójdziemy do was, ojczu opacie — dodał, kiedy opuścili kaplicę — bowiem oprócz tej sprawy, dodatkowej i jak myślę, już załatwionej, mam jeszcze kilka innych — mówił gość idąc wolnym krokiem przez dziedziniec. — A jedna ważniejsza od drugiej. Przyjechałem, żeby o nich pomówić z wami w cztery oczy. Otóż, jak zapewne wiecie, staram się o koronę polską — książę zwolnił jeszcze bardziej

kroku, obrzucił opata badawczym spojrzeniem i widząc na jego twarzy powagę i skupienie mówił dalej. — Czas mi sprzyja, okoliczności również. Mogę nawet powiedzieć, że jak nigdy dotąd. Książę krakowski<sup>1</sup> zmarł bezpotomnie, tron jemu przynależny wolny, a z nim i korona polska.

— Pretendentów jest wielu — wtrącił opat. — Mówią, że książę Bolesław<sup>2</sup> ma za sobą panów małopolskich, którzy już go widzą na tronie i czynić będą wszystko, co w ich mocy, żeby tak się stało. Tutaj potrzeba nie tylko ludzkiej przemyślności, ale także wstawiennictwa Pana Boga.

— Panu Bogu, mój ojczu, trzeba dopomóc. Sam sobie z tym nie poradzi — przerwał opatowi szorstko książę. — I ja na takie wspomóżenie jestem przygotowany. Poczyniłem już pewne kroki. Jakie? Dużo by o tym mówić, ale teraz ani pora na to, ani miejsce. Powiem wam na razie tylko tyle, że przeciwko sobie mam — książę zawałał się, spojrzął z na Adalberta, potem zwrócił pytające spojrzenie na opata.

— Mówcie, panie, śmiało i bez obaw — uspokoił księcia opat. — Jesteście wśród swoich.

— Mam Bolesława i chociaż do łatwych przeciwników on nie należy, ja się jego nie obawiam. Wydaje się nieprzejednany, lecz w rzeczywistości jest niezdecydowany i bardzo miękki. Wystarczy być cierpliwym, żeby urobić go wedle własnego życzenia. Mówią, że zniewiesiał do tego stopnia, iż mdleje na widok upuszczanej przez medyka krwi. Wspiera go biskup krakowski<sup>3</sup>. I ten także, jak zresztą wszyscy inni, do kupienia, z tą jednakże różnicą, że za wielkie pieniądze. Nie wiem ojczu, czy

---

1 Leszek Czarny (1241-1288)

2 Bolesław II Mazowiecki (1251-1313)

3 Paweł z Przemankowa (?-1292)

się orientujecie, ile Leszka kosztowała ugoda z nim. Mniejsza zresztą o koszty. Te trzeba ponieść i jestem na nie przygotowany, lecz na co można w zamian u biskupa liczyć? To już jest prawdziwa zagadka, bowiem biskup przewrotny i niesłowny jak mało, kto — powiedział książę poddając się nagłemu zwątpieniu, zwolnił kroku, w końcu przystanął. Zastanawiał się nad czymś głęboko nie zauważając zupełnie stojących obok niego braci, nagle otrząsnął się z przygnębienia, roześmiał się beztrasko, na całe gardło, jakby już zapomniał o tych wszystkich troskach, które go jeszcze przed chwilą gnębiły. — A jakże, ten — książę przerwał i po krótkim wahaniu dorzucił — mistrz Symeon? Wolny już, czy też będzie jeszcze miał u was jakieś zajęcie?

— Ostatnie — westchnął opat. — Brak środków, panie.

— Znajdziemy je, ojcze. Możecie być pewni, że srebra na dzieło Boże nie poskąpimy — zapewnił opata książę. — Chciałbym przed jutrzejszym odjazdem zamienić z waszym mistrzem kilka słów. Księciu chyba nie odmówi? Jak uważacie? — spytał Henryk ruszając w stronę klasztorного budynku prowadzony do niego usłużnie przez opata.

— Będzie rad, jak my wszyscy — odpowiedział ojciec przełożony chyląc przed księciem głowę.

Słowa Henryka o wsparciu napełniły opata nieopisaną radością i w tej samej chwili przed jego oczami pojawiły się, sięgające horyzontu, połacie równej jak stół ziemi uprawnej, nieprzebyte lasy i bory pierwotnej, niezgłębionej puszczy, ginące w mglistej dali piaszczyste brzegi rybnych jezior i okute żelazem, wypełnione srebrem i wszelakimi kosztownościami dębowe skrzynie. A wszystkie te dobra i nieprzebrane bogactwa, niemożliwe do ogarnięcia ludzkim wzrokiem ani umysłem, prze-

kazywane opatowi przez księcia na oczach braci zakonnych i pielgrzymów podczas uroczystego wniesienia do klasztoru świętej relikwii. Ten wzniosły w swojej wymowie, porywający zmysły widok był tak żywy, tak sugestywny, że ojcu przełożonemu zakręciło się od niego w głowie i w tej samej chwili zemdlony zakonnik osunął się bezwładnie na ziemię.

Opat przechadzał się po dziedzińcu i odmawiał koronki daleki od problemów i kłopotów, jakich mu przysparzało wypełnianie żmudnych codziennych obowiązków związanych z zarządzaniem przez niego klasztorem.

Księżę Henryk przyrzekł ojcu przełożonemu otoczyć klasztor szczególną opieką i wsparciem. Teraz, kiedy miał zamienić swój książęcy diadem na królewską koronę, jego przyrzeczenie nabierało nowego znaczenia. Kiedy ojciec przełożony uświadamiał sobie ten fakt, ogarniała go jeszcze większa radość, a ta, w połączeniu z jego skłonnością do egzaltacji i wrodzoną łatwością ulegania zmiennym nastrojom spowodowały, że opat od kilku dni nie zmrzył oka, co doprowadziło go do fizycznego i psychicznego wyczerpania. Jednak ten stan półświadomego trwania nie przeszkadzał mu snuć wielkich planów, które nadchodząca przyszłość miała niebawem zacząć przekuwać w rzeczywistość. Co do tego opat nie miał najmniejszych wątpliwości. Tak się już przecież stało z budowanym domem pielgrzyma, klasztorną biblioteką czy też samowystarczalnością klasztoru dzięki wprowadzonej przez niego uprawie roli, hodowli ryb, trzody, bydła i drobiu. Jeżeli takie potrzeby dało się zaspokoić dzięki mrzonkom, jak utrzymywali kiedyś jego oponenti, to dla czegożby nie można było dokonać podobnych przemian również w sferze duchowej.

Wiadomości z zamku księcia Henryka napływały do klasztoru z opóźnieniem, ale były systematyczne i dość szczegółowe, dzięki czemu opat doskonale orientował się we wszystkim, co miało miejsce na książęcym dworze i to z taką znajomością rzeczy, jakby był naocznym świadkiem tamtejszych wydarzeń. A działo się ostatnio na książęcym zamku naprawdę wiele.

Henryk doprowadził do ugody z biskupem Tomaszem, kończąc tym samym wieloletni spór i wyposażając hojnie biskupstwo wrocławskie w ziemie, liczne wsie oraz przekazując mu kolegiatę św. Krzyża. W Kaliszu pozyskał dla swojej sprawy sojuszników wśród najbardziej szanowanych członków wpływowego rodu Zarembów. W Krakowie przeciągnął na swoją stronę kasztelana Sułka wyłączając tym posunięciem z gry biskupa krakowskiego, głównego stronnika księcia Przemysła<sup>1</sup>. Żeby zabezpieczyć się przed knowaniami biskupa w Watykanie, wysłał z tajną misją do Rzymu swojego legistę<sup>2</sup> z zadaniem uzyskania papieskiej zgody na noszenie korony oraz posługiwanie się tytułem królewskim. Trudne negocjacje układały się po myśli Henryka. Jego wysłannik nie szczędził pieniędzy na zjednywanie księciu rzymskich stronników, a trzeba dodać, iż środki, którymi dysponował książęcy legat, były znaczne. Henryk zdawał sobie doskonale sprawę z tego, że zaspokojenie apetytu jego rzymskich zwolenników będzie kosztowne, dlatego przeznaczył na ten cel dwanaście tysięcy grzywien. Gdyby kwota ta okazała się niewystarczająca, książę przygotowany był na koszty dodatkowe.

— Zdrow jak ryba i radosny jak skowronek — doleciały do opata nieoczekiwane słowa, wyrwały go z zamyslenia i wprawiły w lekki popłoch.

---

1 Przemysł II (1257-1296)

2 znawca prawa rzymskiego

Opat zatrzymał się w pół kroku, zawrócił i podszedł do rosnącej na środku dziedzińca lipy, która w upalne letnie dni stanowiła doskonale miejsce do modlitwy, kontemplacji i odpoczynku.

Pod drzewem, na kamiennej ławie, siedział mistrz Symeon.

— Długo mnie obserwujecie? — spytał zaniepokojony opat.

— Dość długo, żeby zobaczyć wasz dobry nastrój i zbyt krótko, żeby poznać wasze myśli — odpowiedział malarz.

— Nietrudno jest go mieć, kiedy wszystko się układa zgodnie z naszym zamysłem — odparł ojciec przełożony starając się sprowadzić rozmowę na inny temat.

— Jeszcze nie zacząłem ścierać farb, a wy już tacy radośni. Aż boję się pomyśleć, w jaki wpadniecie błogostan, kiedy na miejscu fresku znowu będziecie mieli pustą ścianę.

— A skąd u was, ojcze Symeonie, takie przekonanie? — zdumiał się opat.

— Mój wiek mi je podpowiada.

— Sędziwy, to prawda — przyznał opat. — Lecz z jakiej przyczyny taki przygnębiony i zgorzkniały?

— Sam z siebie, opacie. Sam z siebie — powtórzył mistrz Symeon i dodał. — Wyście młodzi, więc jego smaku jeszcze nie znacie.

— Przy księciu tryskaliście humorem. Minęło kilkanaście dni a wy w tak podłym nastroju, że trudno was, bracie Symeonie, poznać — zdziwił się opat.

— Takie właśnie są uroki sędziwego wieku, jak byliście łaskawi go nazwać. A kłopoty z nim coraz większe. Jakby się szło po górach. Wczoraj byłem na szczycie, dzisiaj w głębokiej rozpadlinie. W dodatku solidnie poobijany. I tak bez wytchnienia. I żadnych widoków na



odmianę. Jednego dnia wyczerpująca wspinaczka, drugiego bolesne spadanie. Kiedy spojrzę za siebie, widzę wszystkie szczyty, na które się wspiąłem. Gdy patrzę przed siebie, widzę te, na które będę musiał się wspinać i zamiast radości czuję zniechęcenie, bo mam żywo w pamięci wyczerpujące wspinaczki i bolesne upadki.

— Rozumiem was, bracie Symeonie, i proszę, żebyście sobie nie brali do serca tego, że mam na temat waszego malowidła inne zdanie, bowiem moja opinia, jak mogliście się sami przekonać, w niczym mu nie zaszkodziła — odezwał się opat.

— Nie bardzo was pojmuję, opacie.

— Jest, jaki jest i zostawmy już te rozważania — odparł opat. — Będzie zaś tam, gdzie jest, i to wam, bracie Symeonie, jako opat tego klasztoru obiecuję.

Malarz spodziewał się starć z opatem, długich tłumaczeń, drobiazgowych wyjaśnień i żmudnych przekonywań, po których opat ustąpiłby o paznokieć, dając mu jednocześnie do zrozumienia, że ulega dlatego, żeby dowiedzieć, jak bardzo szanuje cudze poglądy nawet wtedy, kiedy się z nimi nie zgadza.

— Dziękuję wam, ojcze opacie, za miłe słowa — odezwał się malarz zdumiony odmianą opata. — Dziękuję tym bardziej, że wypowiedzieliście je wbrew własnemu przekonaniu.

— Weźcie sobie, drogi bracie, do serca, że od samego początku nie byłem przeciwny wam, lecz waszemu artystycznemu spojrzeniu — odparł opat. — Teraz, kiedy już się z tym pogodziłem, nie tyle pod wpływem księcia, co przez szacunek dla was samych, swojej opinii o waszym malowidle nie zmieniłem, tak jak nie zmieniłem zdania o was, prawym człowieku a moim bracie, którego zawsze bardzo ceniłem i szanowałem. Będziecie mogli tego dowiedzieć, i jestem pewny że dowiedziecie, malując dla księ-

cia. Słyszeliście przecież, że nie upierałem się, chociaż mogłem i że nie byłem przeciwny, chociaż miałem takie prawo. Dałem wam swoją zgodę przy księciu obiecując, że wyprawię was najszybciej jak to będzie możliwe wraz z pomocnikami, jakiego uznacie za stosowne wziąć ze sobą, nie czyniąc wam w tym względzie żadnych przeszkód.

— Zgodzicie się na Adalberta? — spytał malarz.

— Zgodzę — potwierdził opat.

— Z zastrzeżeniami jednak, jak sądzę.

— Nie mylicie się — odparł opat.

— Czego oczekujecie ode mnie w zamian? — drążył dalej malarz.

Opat patrzył na mistrza Symeona i milczał.

— Mogę nie sprostać waszym warunkom — odezwał się zaczepnie malarz.

— Wspieramy księcia Henryka w jego wielkich zamierzeniach, jak wiecie, od samego początku, nie opuszczając go w najtrudniejszych nawet chwilach — zaczął ostrożnie opat. — A ponieważ wsparcie takie wymaga od nas określonego postępowania, musimy wiedzieć o planach i zamierzeniach wszystkich, którzy są przeciw księciu, jak też o jego sojusznikach, którymi, czego nie muszę wam tłumaczyć, stali się z różnych pobudek. Jednym słowem, bracie Symeonie, musimy wiedzieć, czy ci, którzy księcia teraz wspierają, nie prowadzą podwójnej gry. A jeśli tak, to jaką i z kim. Nasz książę mimo porażki pod Siewierzem<sup>1</sup> niewiele utracił ze swojej potęgi i jest obecnie bliżej objęcia tronu krakowskiego, niż kiedykolwiek przedtem. Opat Damazy donosi nam, że na chwilowym zamieszaniu chce skorzystać książę czeski<sup>2</sup>, który rości sobie prawo do sukcesji i szuka sojuszników wśród

---

1 bitwa wojsk Henryka IV z Bolesławem II (1289)

2 przyszły król Czech Waclaw II (1271-1305)

panów śląskich. Jak więc widzicie, bracie Symeonie, zagrożenia idą z wielu stron. Trzeba przewidzieć je, jeszcze lepiej rozpoznać, stanąć im na drodze i pokonać. Ale najlepiej zdusić je w zarodku, w chwili, kiedy się rodzą. Żeby tak działać, trzeba o nich wiedzieć jak najwięcej i jak najwcześniej. Im wcześniej, tym lepiej. Im bliżej będziemy wydarzeń, tym większa będzie o nich nasza wiedza, która tym skuteczniej pozwoli nam działać. Wy, bracie Symeonie, będziecie niebawem w samym środku tych wydarzeń i liczę, że wesprzecie nas swoją radą i doświadczeniem.

— Moja rola w waszym przedsięwzięciu została mi już wyznaczona i jest, jak się domyślam, równie ważna jak zadanie Adalberta — powiedział kpiącym tonem malarz.

— Ważniejsza, bracie Symeonie — odparł poważnie opat. — O wiele ważniejsza — dodał mierząc malarza twardym spojrzeniem. — Dla chłopca mam zadania proste: oczy widziały, uszy słyszały. Przecież jest oczywiste, że nie posadzę takiego młokosa przy jednym stole z wytrawnymi gracjami.

— Uważacie mnie za wytrawnego gracza? — zdumiał się mistrz Symeon.

— Nie inaczej.

— Miłe złego początki — mruknął malarz.

— Nie sądzę — rzekł opat.

— Ale ja jestem malarzem — zachnął się mistrz Symeon.

— I nie przestajecie nim być.

— Ani przez chwilę? — zapytał malarz spoglądając na opata z filuternym uśmieszkiem.

— Nie możecie być, bracie Symeonie, kimś innym, niż jesteście. Nie jesteście też takim, za jakiego sami siebie uznajecie, lecz takim, za jakiego uważają was inni.

— Bardzo to dla mnie skomplikowane, drogi opacie — odparł malarz nie porzucając kpiącego tonu. — Jeżeli was dobrze rozumiem, to pomimo takich komplikacji malarzem być nie przestanę.

— To oczywiste — odparł opat udając, że nie usłyszał uszczypliwości malarza.

— Nawet wtedy, kiedy usiądę do stołu z wytrawnymi graczami? — ciągnął dalej tym samym tonem mistrz Symeon.

— Będzie to dla was jedynie zmiana sceny.

— Ale — malarz zawahał się i udając zatroskanie dodał: — czy aby rzeczywiście?

— Dla was, ojcie Symeonie, nieodmiennie taka sama i przy stole, i przy pędzlu — odpowiedział spokojnie opat.

— Czyli podwójna.

— Nie inaczej — potwierdził ojciec przełożony.

Opat patrzył na mistrza Symeona z lekkim niepokojem zastanawiając się, czy nie popełnia błędu powierzając malarzowi tak istotne zadanie. Ojciec przełożony nigdy nie podejmował ostatecznej decyzji pod wpływem chwilowych emocji. Przymierzając człowieka do konkretnego zadania, obserwował go długo, poddawał różnym próbom stawiając na jego hardość, niezależność, nieufność, ale również na umiejętność łatwego nawiązania kontaktów, łagodność w obejściu oraz te cechy osobowości, które od pierwszego wejrzenia budziły u obcych sympatię i zaufanie.

— Na zawsze? — nie przestawał dowcipkować malarz.

— Do czasu waszego powrotu.

— To może potrwać — rzekł malarz.

— Zgadzam się z wami — potwierdził opat uważając, żeby nie odwzajemnić się malarzowi w podobnym tonie,

choć pokusa, żeby właśnie tak mu odpowiedzieć była u ojca przełożonego bardzo silna.

— A do tego męczące.

— Nie da się zaprzeczyć.

— I ryzykowne — dodał malarz.

— Bardzo.

— Można przegrać życie — powiedział mistrz Symeon poważnym tonem, tym razem bez cienia kpiny.

— Jeżeli się go w tej grze postawi — potwierdził opat.

— Co mnie chroni? — zaniepokoił się mistrz Symeon.

— Wasza sukienka — odpowiedział opat, po czym sprostował. — Przynajmniej powinna, lecz noszenie jej nie daje żadnej gwarancji.

— Ani moje pędzle — westchnął ciężko zmartwiony malarz.

— Ale mogą.

— Dobra wiadomość — prychnął krótkim nerwowym śmiechem malarz.

— Dajmy spokój kpinom, bracie Symeonie — powiedział opat. — Wszystko zależy od was. I oczywiście, w jakiejś części od okoliczności, które nie zawsze można przewidzieć, i które to, razem z waszym doświadczeniem, wiedzą i umiejętnościami zdecydują w ostatecznym rozrachunku.

— Ja mam tam malować — opierał się mistrz Symeon.

— I będziecie.

— O malowaniu też wam pisać? — zdziwił się zakonnik nie mogąc powstrzymać się od kpiny.

— Dla pozorów i przysłonięcia waszych rzeczywistych działań — odparł spokojnie opat. — Lecz pisać tak umie-

jętnie, żeby listy nie budziły niczyich podejrzeń a wplecione w tekst słowa niosły istotne i ważne informacje.

— No, tak — sapnął malarz. — Aż mnie zdumienie bierze, jak ja was, ojczy opacie, doskonale teraz zrozumiałem.

— Cieszę się, że to nastąpiło — odparł opat udając, iż nie słyszał uszczypliwości malarza.

— Dla mnie jest to również powód do osobistej satysfakcji — powiedział mistrz Symeon z wyraźną drwiną.

— Kiedy zatem, bracie Symeonie, zamierzacie wyruszyć? — spytał opat chcąc skończyć z dogadywaniem malarza.

— Choćby zaraz po jutrzni. Dobytek mam skromny, prawdziwie mnisi, więc zmieści się bez trudu w jednej sakwie. Kłopotów z jego spakowaniem nie będzie. Przyzwyczajenia mojego wieku też robią swoje, więc wam, opacie, marudzić na pewno nie będę. Pobłogosławicie z rana na drogę mnie i chłopca, i ruszymy w nią nie zwlekając ani chwili — odparł mistrz Symeon pogodzony już z myślą, że nie ma dla niego odwrotu, że musi iść z podwójnym zadaniem; tym pierwszym, jawnym i przyjemnym, sprawiającym mu satysfakcję i dającym zadowolenie z jego wykonywania. I tym drugim, tajemnym, z którym będzie musiał się kryć przed wszystkimi, którego podjął się tak lekkomyślnie pod wpływem chwilowej słabości, broniąc się przed nim naiwnie jak dziecko, czego, o czym wiedział już teraz, nigdy sobie nie daruje.

Od dwóch dni mistrz Symeon odczuwał uporczywe rwanie w kościach, co było dla niego nieomylnym znakiem, że zbliża się załamanie pogody. Kiedy więc przed jutrznią wyszedł na klasztorny dziedziniec, spojrzął

w górę i ujrzał nad sobą bezchmurne niebo, był tym widokiem mile zaskoczony.

Ze wszystkich pór roku malarz najbardziej lubił wczesną jesień z taką pogodą jak dzisiejsza, jeszcze nie babie lato, ale już jego zapowiedź z chłodniejszymi rankami, z polami osmężonymi delikatną mgiełką, z głębokim błękitem spokojnego nieba, z grającymi w pożółkłych trawach pasikonikami i chmarami motyli w powietrzu, które przynosił ze sobą ciepły południowy wiatr.

Żywiłem mistrza Symeona była wędrownica. Malarz nie potrafił wytrwać w jednym miejscu dłużej niż kilka miesięcy i to pod warunkiem, że miał tam do wykonania jakieś konkretne zajęcie. Kiedy kończył malowanie, po kilku dniach bezczynności odczuwał przyływ złych nastrojów, z którymi nie umiał sobie poradzić. Tracił humor, stawał się rozdrażniony i opryskliwy, nie mógł się na niczym skupić a jego ostentacyjna niechęć, którą wszystkim wokół siebie okazywał, sprawiała mu przyjemność i pobudzała go do jeszcze gorszych zachowań.

Z taką samą niechęcią, z jaką mistrz Symeon wracał wiosną tego roku do klasztoru, z taką samą chęcią klasztor ten teraz opuszczał. Taki właśnie stan ducha od lat był sprawcą jego wędrowek po grodach, biskupstwach, klasztorach, większych i mniejszych miastach, w których bywał z konkretnym zadaniem do wykonania, przy okazji lub zatrzymując się w nich po drodze, żeby zaspokoić nagłą ciekawość nowego, nieznanego miejsca i żyjących w nim ludzi.

Wieczornych uwag opata rozkojarzony malarz słuchał nieuważnie, jednym uchem, zapamiętując mało istotne szczegóły dotyczące szyfrowania w listach poufnych wiadomości, gdy w tym czasie reszta instrukcji ojca przełożonego umykała mu niepostrzeżenie i zapadała się w ciemnej otchłani jego niepamięci. Udawał jednak, że

słucha opata z uwagą i skupieniem, przytakiwał ojcu przełożonemu raz po raz, kiwał głową pytając o ten lub tamten szczegół, czym sprawiał instruującemu go opatowi wiele satysfakcji.

Następnego dnia, zaraz po jutrzni, mistrz Symeon spotkał się z opatem, otrzymał od niego listy do księcia Henryka, tajne pisma do osób z otoczenia księcia, poufne informacje oraz szczegółowe instrukcje, z kim powinien się kontaktować na zamku po swoim przyjeździe. Malarz przyrzekł opatowi wywiązywać się rzetelnie z nałożonych obowiązków, pożegnał się z nim i wyszedł na dziedziniec, gdzie pod ścianą kuchni, oparty plecami o mur, czekał na niego cierpliwie Adalbert.

— Gotów, chłopcze? — zagadnął wesoło mistrz Symeon, a kiedy Adalbert skinął w milczeniu głową, malarz zawołał z animuszem. — No to, w drogę!

Zakonnicy zarzucili sakwy na ramiona, przemknęli przez pusty dziedziniec, przekroczyli furtę przeznaczoną dla braci udających się do pracy w ogrodzie i zaczęli schodzić ze wzgórza kierując się ku widocznemu w dolinie traktowi, który omijał wzniesienie z klasztorными zabudowania szerokim, łagodnym łukiem.

Kiedy znaleźli się na trakcie, mistrz Symeon przystanął na krótką chwilę i obrzucił klasztorne wzgórze ostatnim spojrzeniem.

— Przyszliśmy tutaj na wiosnę jako przeciwnicy, a wychodzimy stąd jesienią jako wspólnicy — powiedział półgłosem malarz starając się wymazać z pamięci widok klasztoru, który utkwiał w nim niczym zadra i stał mu ciągle przed oczami.

— Nie idziecie malować, mistrzu? — zdziwił się Adalbert.

— A skąd u ciebie taka myśl? — zapytał malarz patrząc podejrzliwie na Adalberta, a gdy dostrzegł na twa-



rzy chłopca zmieszanie i niepokój, zrobiło mu się go żal i dorzucił prędko. — Gdybym miał inne zamiary, to czy szedłbyś teraz ze mną? — przerwał. — Żeby mi pomagać? — dodał chcąc ukryć swoją niezręczność, choć dysonans pomiędzy drugim jego pytaniem a trzecim, które było właściwie odpowiedzią, był wyraźny i malarz był pewny, że tak też zostało przez Adalberta zrozumiane.

— Ja powiedziałem to w tym sensie, mistrzu, że wy nie musicie malować wedle cudzych gustów, bo macie swoje upodobania i jeżeli księciu nie będą one odpowiadały, to mu malować nie będziecie.

— Wyobrażasz sobie, chłopcze, taką sytuację? — spytał malarz.

— Nie — odparł Adalbert po krótkim wahaniu, a jego twarz oblała się rumieńcem.

— A no właśnie, mój drogi chłopcze. *Aliud est dicere, aliud est facere*<sup>1</sup> — mistrz Symeon podniósł w górę wskazujący palec czekając na ripostę Adalberta.

— Nie rozumiem, ojczy.

— Nie rozumiesz? — zdumiał się malarz.

— Nie — odparł Adalbert.

— Wcale? — zapytał z niedowierzaniem mistrz Symeon.

— Ani jednego słowa — rzekł chłopiec.

Z zachowania Adalberta, z wyrazu jego twarzy, z tonacji jego głosu mistrz Symeon wnioskuje, że chłopiec odpowiedział mu szczerze, z głębi serca, niczego przed nim nie ukrywając.

— Powiedziałem, że nie zawsze czynimy tak, jak mówimy — wyjaśnił malarz i niespodziewanie poczuł ogarniające go zmęczenie, więc przystanął dla złapania tchu, sakwę przełożył z lewego ramienia na prawe i podtrzy-

---

1 co innego powiedzieć, co innego uczynić (łac.)

mując ją ręką dla zrównoważenia jej ciężaru, ruszył za chłopcem, który przez ten czas znacznie się już oddalił.

Mistrz Symeon przyspieszył starając się nadrobić stracony dystans, jednak po kilkudziesięciu krokach poczuł bolesne pieczenie w piersi, a przed oczami zaczęły mu latać czerwone plamki. Zwolnił tempo marszu licząc, że kiedy Adalbert zatrzyma się, choćby na krótką chwilę, i zauważy, że z nim dzieje się coś niedobrego, zaczeka na niego lub zawróci i przyjdzie mu z pomocą.

— Adalbercie! — krzyknął rozpaczliwie malarz za oddalającym się chłopcem. — Nie uciekaj! — zawołał wkładając w to wszystkie swoje siły, zdawało mu się, że tym razem głośniej i donośniej, na całe gardło, lecz z takim samym skutkiem, bowiem chłopiec szedł dalej, więc wołanie malarza było zbyt ciche i do Adalberta nie dotarło, albo chłopiec je zlekceważył lub udał, że nie słyszy.

Malarz zatrzymał się. Oddychał płytko, żeby oszczędzić sobie bólu, który przy każdym głębszym oddechu rozrywał mu pierś i z każdym kolejnym krokiem zwiększał jego cierpienie. Rzucił sakwę na ziemię i nie znajdując w sobie dość sił ani ochoty, żeby jeszcze raz zawołać na chłopca, patrzył bezradnie, jak Adalbert coraz bardziej się oddala, po czym osunął się zrezygnowany na ziemię, położył głowę na sakwie i pół leżąc, pół siedząc patrzył na klasztor czując ogarniające go zobojętnienie.

Adalbert zatrzymał się, żeby poprawić rzemyk sandała, który ocierał mu stopę. Przykucnął, spojrział odruchowo za siebie, nie zobaczył malarza, lecz przez myśl mu nawet nie przeszło, że z jego towarzyszem podróży dzieje się coś niedobrego. Poprawił przekreślony rzemień i ruszył przed siebie. Po jakimś czasie, tknięty przecuciem, podobnym bardziej do rozdrażnienia niż niepokoju, stanął, odwrócił i zaczął szukać wzrokiem na trakcie wy-

sokiej, chudej sylwetki malarza będąc pewnym, że musi tam być. Próżno jej jednak wypatrywał na drodze. Trakt, na całej swojej długości, aż po dobrze widoczny zakręt przed wzniesieniem, na którym znajdował się klasztor, był zupełnie pusty.

Chłopiec zastanawiał się chwilę co zrobić, po czym zły na siebie i wściekły na malarza zawrócił i szedł kopiąc po drodze kamyki i złorzecząc w myślach mistrzowi Symeonowi. Złość nie opuściła go nawet wtedy, gdy ujrzał malarza leżącego przy trakcie w niewysokiej trawie. Widząc go wspartego na sakwie, z twarzą zwróconą na klasztor, Adalbert był przekonany, że malarz położył się na ziemi dla odpoczynku. Zdarzało się już tak wcześniej i to wielokrotnie. Malarz ociągał się w marszu, marudził, potem nagle zatrzymywał się, kładł się na ziemi na wznak i leżał wpatrując się w niebo, po czym równie nieoczekiwanie podrywał się i szedł dalej, jakby nic się nie zdarzyło.

— Co wam, mistrzu? — spytał chłopiec tonem, w którym brzmiało lekkie zniecierpliwienie.

— Zaniemogłem, Adalbercie.

— Odpocznicie chwilę, nabierzecie sił, a potem ruszymy dalej — powiedział Adalbert.

— Nie tym razem, chłopcze.

— Pogoda nam sprzyja. Niebo — chłopiec spojrzał w górę — jak rybie oko. Dzień długi. Dopiero się zaczął. Do wieczora daleko. Nie musimy się spieszyć. Przed nocą dojdziemy do sioła przy trzecim jeziorze. Noclegu nam nie odmówią a i nakarmią jak się patrzy. Wy się, ojczy, o nic nie martwcie. Już ja się wami zaopiekuję jak należy.

— Zostanę tutaj.

— Osłabliście tylko. Najpewniej was owiało. Nie ma powodu, żebyśmy się tak spieszyli. Poleżycie sobie, ode-

technicie i słabość wam przejdzie, jak odjął ręką — przekonywał malarza Adalbert.

— Zbliź się, chłopcze — mistrz Symeon przywołał Adalberta niezdarnym ruchem sztywniejącej ręki, a kiedy chłopiec uklęknął przy nim i pochylił się, malarz, patrząc mu w oczy, zapytał drżącym głosem. — Lubisz ty mnie, Adalbercie?

— Lubię wasze malowidło, mistrzu — odparł chłopiec odwracając swój wzrok od pytającego spojrzenia malarza.

— A jednak jestem samolubny, ponieważ spodziewałem się więcej, pomimo, że na więcej sobie nie zasłużyłem — rzekł ze smutkiem malarz.

Chłopiec nie odpowiedział, podniósł głowę i patrzył ponad zrudziałymi trawami na klasztorne wzgórze.

— Zostałeś na mnie skazany, Adalbercie, więc się tobie nie dziwię — odezwał się malarz po długim milczeniu. — Skazany także wbrew mojej woli, ale kiedy mój żywot się dopełni, staniesz się wolnym. Więc tymczasem, mój drogi chłopcze, pater noster qui es in caelis, sanctificetur nomen tuum, adveniat regnum tuum, fiat voluntas tua<sup>1</sup> — począł modlić się malarz głosem, który słabł z każdym wypowiedzianym przez niego słowem pacierza.

Adalbert uklęknął przy malarzu, pochylił głowę, zamknął oczy i modlił się razem z nim żarliwie, wzywając na pomoc Pana i prosząc go o zmiłowanie nad malarzem i nad nim samym, roztrzęsionym, strwożonym, bezradnym. A kiedy skończył pacierz, przeżegnał się, otworzył oczy i przepełniony nadzieją spojrzął na malarza, ujrzał go leżącego na ziemi na wznak, z zamkniętymi oczami, z odchylną głową, która zsunęła się z sakwy i tak już pozostała.

---

1 Ojczy Nasz, któryś jest w niebie... (łac.)

— Ojcie! — krzyknął Adalbert na cały głos. — Ojcie Symeonie! — zawołał wystraszony nie odrywając wzroku od białej jak płótno twarzy malarza. — Musimy iść! Nie wolno wam tak leżeć! Ja wam zabraniam! Ja, Adalbert! Słyszycie mnie, ojcie? — przerażony chłopiec dotknął policzka malarza, a kiedy poczuł ciepłe żywe ciało, odetchnął z ulgą.

Malarz żył. To było jedynie omdlenie i chwilowa utrata świadomości. Nic więcej.

Adalbert uniósł delikatnie głowę mistrza Symeona, ułożył ją ostrożnie na sakwie, po czym zaczął wpatrywać się z napięciem w twarz malarza szukając w niej oznak życia. Powieki mistrza Symeona lekko drżały, jakby malarz je mrużył chcąc ochronić przed słońcem, jego pierś unosiła się nieznacznie przy każdym oddechu, krótkim, płytkim i nierównym, lecz łatwo zauważalnym dla każdego, kto miał wprawne oko.

Chłopiec odpiął przytroczony do pasa skórzany bukłak, wylał na dłoń trochę wody i skropił nią czoło mistrza Symeona. Po twarzy malarza przeleciały lekkie skurcze, powieki drgnęły, otwarły się na krótko i zamknęły się na powrót, a z jego ust wydobyło się głębokie westchnienie.

Adalbert ściągnął płócienną koszulę, oderwał zębami rękaw, przedarł go na dwa kawałki, mniejszy zwinął w poręczny gałgan, zmoczył go obficie wodą z bukłaka i wycierał nim twarz malarza. Co jakiś czas unosił gałgan nieznacznie w górę, wyciskał z niego kilka kropel wody, które spadały na czoło mistrza Symeona, spływały na chudą szyję zakonnika i znikały pod fałdami wypłowiałego habitu, wyświechtanego od długiego noszenia, przecieranego w niektórych miejscach tak bardzo, że przez dziury widać było nie tylko koszulę, lecz także nagie blade ciało, które nigdy nie oglądało słońca.

Adalbert sięgnął po większy kawałek rękawa, złożył go w prostokąt, nasaczył wodą, wycisnął jej nadmiar i wsunął wilgotną szmatę pod habit malarza, układając zimny kompres na jego piersi w taki sposób, żeby przykrył mu splot słoneczny.

— Ojcie Symeonie! — chłopiec potrząsnął malarzem i z napięciem wpatrywał się w jego drżące powieki. — Ojcie Symeonie! — zawołał jeszcze raz z nadzieją, że malarz otworzy oczy, albo uczyni jakiś gest, choćby nawet nieznaczny, dając mu do zrozumienia, że słyszy go i rozumie. — Czy ojciec mnie słyszy? — zapytał Adalbert, poczekał chwilę na odpowiedź, a kiedy jej nie usłyszał, uderzył malarza dłonią trzy razy w prawy policzek, potem z taką samą siłą wymierzył mu trzy uderzenia w lewy policzek i kiedy mistrz Symeon otworzył oczy, trzepnął go końcami palców po obu policzkach, tym razem mocniej niż poprzednio, być może, że nawet za mocno, ponieważ na obu policzkach malarza wykwitły krwiste, podłużne smugi. — Ojciec żyje! — zawołał uradowany chłopiec. — No, co też ja, głupi, mówię. Przecież ojciec na mnie patrzy. Chociaż, nie wiem. Sam już nie wiem. Może trzeba do klasztoru? Po braci? Niech ojciec coś powie. Cokolwiek.

— Pić — wyszeptał malarz.

— Pić — powtórzył Adalbert. — Co, pić? — spytał chłopiec na wpół przytomnie i spojrzał na malarza. — Tak. Pić. Co ja mówię. Już. Zaraz. W tej chwili — rozglądał się gorączkowo za bukłakiem, dostrzegł go na ziemi, tuż przy swoich kolanach, podniósł bukłak z ziemi, wyciągnął drewnianą zatyczkę, przytknął szyjkę bukłaka malarzowi do warg i ściskając bukłak dłonią starał się podawać tyle wody, ile malarz był w stanie przełknąć jej bez zakrzuszenia. — Jak się ojciec czuje? — spytał chłopiec patrząc z z troskaniem na malarza.

— Zasłabłem — powiedział niepewnym głosem mistrz Symeon i utkwiał w Adalbercie pytające spojrzenie szukając u chłopca potwierdzenia.

Adalbert przytaknął w milczeniu głową.

— Poleżę chwilę — odezwał się malarz po długim milczeniu — odpocznę, a potem pójdziemy, gdzieśmy zamierz yli.

— Dacie radę, ojczy? — zaniepokoił się Adalbert.

— Ładnie mówisz do mnie, Adalbercie — malarz zmrużył oczy i uśmiechnął się do myśli, która wprawiła go w pogodny nastrój.

— Wybaczcie, ojczy Symeonie, jeśli was uraziłem — Adalbert zmieszał się, poczerwieniał i opuścił wzrok. — Wiem, że nie powinienem. Ale to tak samo z siebie. Bałem się, że wy, już, teraz. A ja? Ja nic. I znikąd pomocy, bo nikogo nie ma na trakcie. Ani konnego, ani pieszego. Do klasztoru też nie mogłem, bo jakże mi było zostawić was samego — tłumaczył się speszony chłopiec.

— Zmartwiłem ciebie? — spytał malarz.

Chłopiec skinął głową.

Mistrz Symeon usiadł na ziemi, spojrzał na czyste błękitne niebo, obrzucił wzrokiem rozświetlone słońcem klasztorne wzgórze, potem zwrócił oczy na stojącego przed nim z pochyloną głową Adalberta, podniósł się z ziemi, wyciągnął w jego stronę rękę, ujął chłopca pod brodę, uniósł jego twarz w górę i patrząc mu w oczy powiedział półgłosem:

— Dziękuję tobie, Panie, za miłość, którą mnie obdarowałaś w chwili, kiedy straciłem już wszelką nadzieję.

**P**od wieczór wędrowcy dotarli do chaty rybaka położonej nad jeziorem.

Drzwi sadyby zastali zamknięte, obojście puste.

Mistrz Symeon zajrzał do wędzarni, która znajdowała się w świerkowym zagajniku, kilkadziesiąt kroków od chaty, zamaskowana umiejętnie przed wzrokiem niechcianych gości, lecz niezbyt trudna do wykrycia dla tych, co mieli czułe powonienie. Pod dachem wędzarni, na drążkach służących do wędzenia ryb i mięsiwa, malarz ujrzał uwędzone węgorze, zaś na ziemi, na wystyglym już palenisku, kupki siwego popiołu i poczerniałe głównie niedopalonych polan. Nigdzie ani śladu gospodarza. Malarz ściągnął z drążka węgorza, wsadził go pod pachę, przycisnął łokciem i udał się nad jezioro, gdzie na jego brzegu, na skrawku udeptanej ziemi, natknął się na pal do przywiązywania łodzi oraz charakterystyczną bruzdę, jaką pozostawiła na brzegu stępka spychanej na wodę łódki. Dla malarza było oczywiste, że przed ich przybyciem rybak wypłynął na połów, lub też jeszcze z niego nie powrócił.

Mistrz Symeon zawrócił do chaty, kazał Adalbertowi otworzyć drzwi i obaj mnisi weszli do środka.

Wnętrze chaty stanowiła jedna izba bez powały, z okrągłym otworem w darniowym dachu, przez który ulatywał dym ze znajdującego się na środku izby paleniska, teraz zimnego, z trójnogiem i wiszącym nad nim okopconym kociołkiem. Pod ścianą, na wbitych w ziemię palach, stał stół i dwie ławy z okorowanych, okrągłych dyli. Po przeciwnej stronie izby wykonane z takich samych dyli łoże z pościelą wyścieloną gałązkami jedliny, suchymi trawami, liśćmi i płonnikiem. Ściany chaty, stawiane na zrąb z ciosanych beli, stanowiły solidne zabezpieczenie przed dziką zwierzyną jak też przed niepożądanymi gośćmi. Brak okien oraz solidne drzwi, podpierane od wewnątrz dębową kłódą, były dodatkowym wzmocnieniem i zmieniały tą niepozorną, prymitywną budowlę w fortecę, do której dostanie się z zewnątrz było



nie lada wyczynem. Szczeliny pomiędzy belkami poutykano mchem zmieszany z żywicą, która z czasem stwardniała na podobieństwo litej skały. W kilku miejscach, pomiędzy belkami, widoczne były owalne prześwity, przez które wpadało do mrocznej izby dzienne światło. Być może, że ubytek ten spowodował czas, możliwe także, że wydłubano je celowo, żeby mieć możliwość śledzenia przez nie z chaty tego, co działo się na zewnątrz.

Czas płynął, rybak nie wracał.

Mnisi usiedzieli przy stole, wsparli na nim łokcie i czekali w milczeniu nie bardzo wiedząc, co mają dalej począć.

Niewielu wędrowców decydowało się spędzić noc w puszczy ze względu na niebezpieczeństwa, jakie groziły im ze strony dzikiego zwierza, strzyg, topielic i wąpierz<sup>1</sup>, których obawiano się bardziej niż czyhających przy traktach rzezimieszków potrafiących ukatrupić podróżnego dla gomółki spleśniałego sera.

Mistrz Symeon zamknął drzwi i podparł je kłodą, lecz w taki sposób, żeby w razie nagłej potrzeby można ją było stamtąd szybko usunąć. Adalbert skrzesał ognia i zapalił smolne łuczywo. Słabe, żółtawe światło rozświetliło wnętrze chaty przydając ponurej izbie złudnej przytulności. Malarz położył na stole wędzonego węgorza, nalał do kubków wody, pobłogosławił jadło i napitek, po czym obaj wędrowcy zmówili pacierz dziękując Opatrzności za dach nad głową, opiekę w drodze i zaczęli się posilać.

Jedli wsłuchując się w odgłosy puszczy, które docierały do ich uszu pokonując bez trudu grube ściany chaty. Zagadkowe szmery, tajemnicze szepty, dziwne szelesty, osobliwe drapania pazurkami i tupot biegnących po kle-

---

1 upiór żywiący się ludzką krwią

pisku dziecięcych stópek mieszały się z szumem płynącej wartko rzeki, to znowu gwizdem wiatru przelatującego gdzieś górą, ponad konarami drzew, po czym zamierały i ginęły, żeby po chwili powrócić, objawić się ze zdwojoną mocą i ponownie przycichnąć.

Adalbert przeżegnał się, spojrział niepewnym wzrokiem na mistrza Symeona, który wybierał palcami pomiędzy rybich ości kawałeczki mięsa, wkładał je do ust i żuł powoli ze spojrzeniem utkwionym przed siebie, w nieodgadnioną dal, z twarzą, na której chłopiec dostrzegł jedynie oschłą obojętność spowodowaną zmęczeniem i ciężkimi przeżyciami minionego dnia.

— Słyszeliście, ojcze? — chłopiec zastygł w bezruchu.

— *A capite ad calcem*<sup>1</sup> — odparł malarz nie przerywając jedzenia.

— Nie boicie się lesza<sup>2</sup>?

Malarz przerwał jedzenie, spoglądał chwilę przed siebie, potem zwrócił swój wzrok na Adalberta i patrząc spokojnie na pobladłą twarz chłopca, powiedział:

— Najgłębsze rzeki, Adalbercie, płyną z najmniejszym szumem. Ja się nie lękam tego, co głośnie. Ja się boję tego, co ciche.

— *Frater Jakub*, ten, co ma pieczę nad klasztorными wołami, opowiadał, że jednego razu, po skończonej orce, postanowił je pławić w rzece. Zrzucił im z karków jarzma i poprowadził je ku wodzie, na skrót, przez czarny las. Kiedy był na szczawnej polanie, usłyszał czyjś śpiew. Woły stanęły i nie chciały dalej iść. Na nic zdały się krzyki brata Jakuba, jego zachęty, nawet batożenie zwierząt. Woły stały w miejscu jak skamieniałe. Potem wyszły z puszczy na polanę trzy wilki i rozdzieliły się.

---

1 od głowy po pięty (łac.)

2 władca puszczy

Jeden stanął po prawej stronie brata Jakuba, drugi po lewej, a trzeci z tyłu, za jego plecami. Po chwili z gęstwiny wyszedł mężczyzna. Jego twarz nie miała rzęs ani brwi, grube wydatne wargi zasznurowane miał jak ciżmy a całe jego ciało pokrywała gęsta sierść, taka sama jak u wilków. Brat Jakub zorientował się, że ten śpiew, który cały czas słyszy, wychodzi z tych zasznurowanych ust owłosionego mężczyzny. Przerażony padł na kolana, przeżegnał się trzy razy, trzy razy splunął przez lewe ramię, następnie przez prawe, potem za siebie, zatkał sobie uszy, zamknął oczy i żeby zagłuszyć śpiew owłosionego potwora, zaczął wykrzykiwać słowa pacierza najgłośniej jak tylko zdołał. Kiedy skończył się modlić i otworzył oczy, na polanie nie było ani owłosionego mężczyzny, ani wilków, tylko on i pasące się spokojnie woły. A gdy odstąpił uszy, usłyszał słowa swojego pacierza, które kołowały ponad drzewami jak ptaki, spadały w puszcze i wsiąkały w nią niczym deszcz w ziemię spragnioną wody.

— Bajania prostaczka — machnął lekceważąco ręką malarz. — Zresztą nie pierwsze brata Jakuba i najpewniej nie jego ostatnie.

— W każdym bajaniu, ojczu, tkwi ziarenko prawdy — sprzeciwił się chłopiec.

— Nie każdy go jednak sieje, drogi Adalbercie. Są również tacy, którzy zamiast ziarna sieją plewy i potrafią z nich zebrać obfite plony.

— Wy się, ojczu, nie lękacie dzikich<sup>1</sup>? — na twarzy Adalberta malowało się powątpiewanie.

— Dzikie nie ma do mnie dostępu — odparł malarz i uśmiechnął się. — A że i mnie także straszy? — uniosł w górę brwi, po czym westchnął. — Taka jego natura, Adalbercie. I taka potrzeba. I taka obrona przede mną,

---

1 demony

który jego się nie boi. On mnie straszy, chłopcze, ze strachu. Straszy, bo ja dla niego sam jestem straszny.

— Są takie, co tylko straszą i te można odpędzić. Wystarczy się przeżegnać, odmówić zaklęcie albo pacierz. Są jednak też takie, na które zaklęcia ani modlitwy nie działają. I te są najgorsze. W siołach za rzeką, ludzie pod progami swoich domostw zakopują niedźwiedzie pazury i wilczą sierść, bo wierzą, że one ochronią ich przed dzikimi.

— E rivo flumina facis<sup>1</sup> — odpowiedział malarz.

— Ale to prawda, ojcze — żachnął się Adalbert. — Brat Jakub zaklinał się, że ludzie postępują tam tak samo, jak przed dziesiątkami lat. Na języku mają pacierz a pod progiem pazury albo sierść. Trudno w to uwierzyć, ale jak mu nie wierzyć, skoro frater Jakub jest stamtąd, od nich.

— Oni w jeden rok się nie odmieniają. Jeżeli im bliżej z tym do Pana, to nie mieszajmy się i zostawmy ich Panu, ponieważ on stworzył ich takimi nie bez powodu.

— Ja wam, ojcze, nie mówię o tym dlatego, że jestem im przeciwny. Bo nim nie jestem. Ani z serca, ani z myśli. Ani tamtym ludziom, ani bratu Jakubowi. Ja tylko potworzyłem to, co słyszałem z jego ust.

— Ja ich nie pochwalam. Nie pochwalam też takiego postępowania. Ja ich jedynie usprawiedliwiam przed twoim — malarz przerwał — przed naszym — sprostował i podnosząc w górę wskazujący palec ciągnął dalej — być może, krzywdzącym osądem. Moja wątpliwość nie wynika z przychylności dla ich pogańskich obyczajów. Ona oznacza, że ja szukam usprawiedliwienia dla ich postawy, ponieważ najpierwszym moim obowiązkiem est desperare<sup>2</sup>.

---

1    ze strumyczka tworzysz rzekę (łac.)

2    jest wątpić (łac.)

— Dajecie wiarę tym, których nie znacie, a odmawiacie jej bratu Jakubowi? — nie wytrzymał Adalbert.

— Ja nikomu prawa do mówienia nie odmawiam, drogi chłopcze — odparł opryskliwie mistrz Symeon. — Ja jedynie mówię, że powinnością człowieka jest ufać rozumowi a nie zawierzać ślepo zmysłom, bo te są złudne i prowadzą nas na wydmy — malarz zgarnął ości ze stołu na ziemię jednym ruchem ręki, chciał mówić dalej, lecz kiedy zobaczył, że siedzący naprzeciw niego Adalbert pochylił głowę i odwrócił wzrok, złożył dłonie, splótł palce, oparł łokcie na stole i wsparłszy głowę na dłoniach zatopił się w modlitwie skupiając na niej całą swoją uwagę.

To już nie był ten zagubiony i bezradny ojciec Symeon, jaki objawił się Adalbertowi dzisiejszego poranka. To znowu był mistrz Symeon. Ten sam, co wczoraj i przedwczoraj. Taki sam jak przed miesiącem. Nieufny i bardzo zasadniczy w swoich poglądach. Patrzący na innych z góry. Pouczający i napominający ich z piedestału swoich jedynie słusznych racji i przekonań, twardych zasad i nieomylnych prawd.

Adalbert przeżegnał się, wstał od stołu i podszedł do łoża. Długo mościł się na pościeli szukając najwygodniejszego miejsca do spania, a kiedy go znalazł, odwrócił się twarzą do ściany i zwinął się w kłębek pozostawiając za plecami tyle wolnego miejsca, że zmieściłoby się tam trzech takich jak mistrz Symeon.

Dramatyczne wydarzenia dzisiejszego ranka i przedpołudnia sprawiły, że chłopiec postanowił wyznać malarzowi szczerze wszystko to, co od dawna mąciło mu umysł i dręczyło jego duszę. Gnębiony wyrzutami sumienia przewracał się na łożu z boku na bok, wiercił się na szeleszczącym pościeli, wzdychał raz po raz, a jego ciałem wstrząsały zimne i gorące dreszcze.

— Co ci jest, chłopcze? — spytał zaniepokojony ojciec Symeon.

— Nic, mistrzu.

— Powiedziałeś, mistrzu? — zdziwił się malarz.

— Ja? — Adalbert zawahał się. — Ja tak powiedziałem, ojcze? — zapytał zdumiony chłopiec.

— Naprawdę nic tobie nie dolega ani nic ciebie nie gnębi? — dopytywał się nieustępliwie mistrz Symeon.

— Nic, ojcze — odparł Adalbert — ja tylko tak... ze zmęczenia — wydusił z siebie chłopiec i umilkł.

— A może jest coś, o czym chciałbyś ze mną porozmawiać? — nie dawał za wygraną malarz.

— Nie ma, ojcze.

Adalbert słyszał jak mistrz Symeon gasi łuczywo, podchodzi do łoża, poprawia w ciemnościach pościelanie i układa się na nim do snu.

Skrzypiały pod malarzem grabowe dyle prymitywnego łoża, szeleściły suche trawy i liście. Mistrz Symeon wzdychał, postękiwał, przewracał się z boku na bok szukając w miarę wygodnego miejsca, na którym mógłby ułożyć do snu swoje utrudzone całodzienną wędrówką ciało.

Potem w chacie zapanowała krótka cisza a po niedługiej chwili całą izbę wypełniły głośnie pochrząkiwania, świsty, posapywania i groźne pomruki wydobywające się z ust mnichów śpiących kamiennym snem.

**D**ni były coraz krótsze, słońce nad horyzontem coraz niższe.

Któregoś dnia nadciągnęły z północy gęste ołowiane chmury i zaczął siąpić drobny, dokuczliwy deszcz. Po dwóch dniach niebo wypogodziło się, zrobiło się odrobi-

nę ciepłej, lecz zimne noce sprawiały, że w miejscach zacienionych przez cały dzień utrzymywał się szron.

Czas dobrej pogody minął bezpowrotnie. Każdego ranka zakonnikom przychodziło mierzyć się z coraz trudniejszymi warunkami podróŜowania. Ostry, północny wiatr zapowiadał wczesną zimę. Nie było innego wyjścia jak tylko zebrać wszystkie siły i dotrzeć do zamku na Ostrowiu najszybciej jak się tylko dało. Zakonnicy wyruszyli w drogę z nastaniem świtu. Nie marudzili. Nie odpoczywali bez potrzeby. Szli równym, mocnym tempem i korzystali z kaŜdej okazji na podwiezienie. Raz dołączyli do orszaku wielmoŜy, który jechał do Sieradza. Innym razem skorzystali z uprzejmości kupców, którzy podwieźli ich do rozstajnych dróg i żegnając się z nimi nie zapomnieli obdarować ich na dalszą drogę prowiantem i dobrymi radami.

Minęły dwa tygodnie trudnej wędrówki. Mnisi zostawili za sobą dziką pierwotną puszcę pociętą wartkimi strumieniami, dymiącymi bagniskami, leśnymi traktami i ścieŜkami prowadzącymi w mroczne, nieodgadnione ostępy i weszli do krainy ŷywnych ziem, ludnych osad, murowanych zamków i miast z dobrymi drogami, którymi poruszali się w poczuciu pełnego bezpieczeŃstwa.

Ostatnią noc, po dniu względnie dobrej pogody, zakonnicy spędzili u zasadzcy<sup>1</sup> Gedka. Jego dom stał na ŷwieŜym karczowisku, w Ńrodku przyszłej wsi, kilka staj<sup>2</sup> od niewielkiej strugi, za którą ciągnęła się pierwotna puszcza. Teren pod zabudowę domostw był juŜ wytyczony, obszar pól uprawnych podzielony na trzy części, wybrano takŜe miejsca na kuźnię i młyn, zaŃ pierwsi mieszkańcy osady, zakontraktowani chłopi sascy, mieli tutaj zacząć Ńciągać wiosną przyszłego roku.

---

1 tu: załoŜyciel wsi

2 miara długości wynosząca ok. 134 m

Mistrz Symeon był oczarowany gospodarzem i wzruszony jego nadzwyczajną gościnnością. Błogosławił na odchodnym jemu i jego rodzinie polecając ich szczególnej opiece niebios. Po jednodniowym odpoczynku i odzyskaniu sił nadwątlonych trudami długiej wędrówki, mnisi ruszyli w dalszą drogę żegnani z wielką wylewnością przez gościnnego gospodarza. Idąc za jego radą, skrócili sobie drogę przez przyprószone śniegiem pola, dzięki czemu jeszcze tego samego dnia dotarli przed południem do głównego traktu. Śnieg o tej porze roku był w tych stronach zjawiskiem rzadkim, dlatego Gedko uznał go za zły omen dopatrując się w nim ostrzeżenia przed nadciągającymi nieszczęściami.

— Tam pazury i sierść, tutaj śnieg i nieszczęścia. Ciekawe, czym poczęstują nas na Ostrowiu — mruknął malarz, kiedy obaj z Adalbertem znaleźli się na ośnieżonym trakcie.

Chłopiec nie odezwał się. Spojrzał jedynie ukradkiem na malarza nie mając najmniejszej ochoty wdawać się z nim w jakąkolwiek dysputę.

Ruch na trakcie był spory. Szli pojedynczo i grupkami piesi, jechali konni, toczyły się z chrzęstem kół kupieckie wozy. Prowadzono na postronkach woły, pędzono stada kóz, owiec i jagniąt. Beczały żałośnie cielęta oddzielone od swoich matek. Kwiczały przeraźliwie wieprzki dżgane ostro zakończonymi kijami przez poganiających je świernarzy. Gdakały uwięzione w koszach wystraszone kury, gęgały płochliwe, śnieżnobiałe gęsi. W powietrzu unosiła się woń spoconych ciał, przemoczonego odziewku, ptasich odchodów, bydłęcego łajna i uryny.

Wszyscy szli na jarmark.

Oszołomiony Adalbert zdał się na ten żywioł i pozwolił mu się nieść w stronę otoczonego murem zamku, wokół którego przycupnęły liche zabudowania podzamcza.



Mistrz Symeon szedł kilka kroków przed Adalbertem rzucając roztargnione spojrzenia pozdrawiającym go ludziom. Odpowiadał im niedbale, najczęściej skinieniem głowy, czasem unosząc w górę dłoń i kreśląc nią w powietrzu znak krzyża, zdawało się niechętnie i z ociąganiem, jakby niezadowolony z tego, że odrywają go od spraw, o których właśnie rozmyślał.

Kilka staj od pierwszych zabudowań podzamcza kmiecie pędzący swoje zwierzęta, smolarze z kadziami smoły, węglarze z koszami węgla drzewnego schodzili z traktu na rozległe pola, na których kłębił się tłum ludzi i zwierząt. Wszystko tutaj falowało, kotłowało się i mieszało ze sobą. Ludzie i zwierzęta. Sprzedający i kupujący. Drobnzi złodzieje i różnego autoramentu oszuści. Miejscowi w łapciach, chodakach i skórniach z cholewami. Ciekawi wszystkiego mieszkańcy grodu i podzamcza oraz przybysze z najodleglejszych stron księstwa. Trzeba było umieć wdrzeć się w ten kotłujący się żywioł, mieć wiele wprawy, obycia i doświadczenia, żeby znaleźć w nim to, co chciało się po dobrej cenie kupić lub korzystnie sprzedać i wydostać się z niego bez szwanku, całym i zdrowym, z nietkniętą sakiewką ukrytą w fałdach odzienia, albo trzymaną przezornie za pazuchą.

Kto miał inną potrzebę, ten omijał błonia i szedł prosto na podzamcze, gdzie na jego wąskich uliczkach, w szpalerach, gęsto, jeden obok drugiego, stały kupieckie stragany, na których można było kupić wszystko, czego dusza zapagnęła. Suszone grzyby i jagody. Ryby i miód. Drób. Świeże mięso z jatki. Gliniane naczynia, dębowe stągwie i beczki. Len w snopach i międlony. Wełnę, przędzę, sukno, płótna białe i barwione. Na stołach czekały na nabywców wyroby z żelaza, skóry, szkła, rogu i kości. Instrumenty muzyczne i zabawki dla dzieci. Zioła i przyprawy oraz cudowne leki na każdą chorobę i chwi-

lową przypadłość. A wszędzie panował zgiełk, tłok i harmider. Słysząc było łajania niecierpliwych sprzedawców, śmiechy kupujących, żartobliwe dogadywania i ochryple śpiewy podchmielonych opojów. Wybuchające tu i ówdzie nieporozumienia przeradzały się w bójki, nierzadko krwawe, prawie zawsze z interweniującą strażą grodzką. A ponad tym wszystkim unosiła się atmosfera wszechobecnej beztroski i radosnego świętowania.

Mistrz Symeon z trudem przedzierał się przez gęsty tłum. Malarz chciał jak najprędzej znaleźć się na zamku. Nie interesowali go kotłujący się w ciasnych uliczkach podzamcza ludzie. Jego oczy nie widziały pyszniącego się na straganach bogactwa, a nos nie czuł kuszącej woni pieczonych mięsów ani oszałamiającego zapachu suszonych owoców, ziół i przypraw. Kiedy zakonnik dotarł do południowej bramy zamku, był tak zmęczony, że przed wejściem na zamek musiał chwilę odpocząć. Przystanął więc dla złapania tchu i ciężko dysząc przyglądał się uważnie zamkowemu murom.

Na wieży z ciosanego kamienia, zwieńczonej blankami<sup>1</sup>, stał strażnik i wypatrywał czającego się w oddali niebezpieczeństwa, które w każdej chwili mogło zagrozić spokojnemu życiu mieszkańców zamku i podgrodzia. Usytuowana u stóp wieży szeroka na dwóch konnych brama wjazdowa, otwarta teraz na oścież, z uniesioną w górę broną<sup>2</sup>, prowadziła wprost na dziedziniec zamkowy. Ku bramie wiodła wyłożona płaskimi kamieniami droga, przy której stali zbrojni i bardzo skrupulatnie przetrzasali wjeżdżające na zamek wozy.

Adalbert starał się trzymać blisko ojca Symeona. Nie zawsze mu się to jednak udawało. Chłopiec więcej uwagi poświęcał straganom i handlującym przy nim ludziom,

---

1 element muru obronnego zamku

2 krata zamykająca wejście przez bramę

niż idącemu przed nim malarzowi i co rusz tracił go z oczu, zdawało mu się, że jedynie na chwilę, lecz odnalezienie w tłumie nawet tak charakterystycznej sylwetki nie było wcale takie łatwe. Co prawda postać malarza pojawiała się po pewnym czasie w tłumie, lecz w zupełnie innym miejscu niż Adalbert tego się spodziewał. Kiedy chłopiec dostrzegł mistrza Symeona i przebił się ku niemu przez zwarty tłum, okazywało się, że malarz jest już w innym miejscu i zazwyczaj o wiele dalej, niż poprzednio. Zdezorientowany chłopiec nurkował między ludzi robiąc sobie wyrzuty, że nie czuwa nad malarzem tak, jak obiecywał opatowi, nie wspominając już o przyrzeczeniu, jakie złożył sobie samemu w chacie rybaka przed zaśnięciem. Kiedy więc tylko zobaczył ojca Symeona przy zamkowej bramie, rzucił się ku niemu przewracając na swojej drodze stragany, obalając ludzi i wprawiając malarza w osłupienie swoim nieokrzesanym zachowaniem.

— Prędeż dałbym się pokrajać żywcem, nim uwierzyłbym w to, że widziano ciebie takim, jakim ja widzę ciebie teraz — powiedział malarz patrząc ze zdumieniem na rozradowanego Adalberta.

— Nie byłoby to z waszej strony zbyt rozsądne posunięcie, ojczu — odparł chłopiec z filuternym uśmiechem.

— Humor, jak widzę, też ci dopisuje. To dobrze, chłopcze. Bardzo dobrze. Użyczysz mi go w chwili, kiedy zabraknie mi mojego, bo coś mi podpowiada, że o dobry humor będzie tutaj równie trudno jak o słońce, którego przez ostatnie dni na próżno żeśmy wyglądali.

— Słońce przychodzi, odchodzi i wraca. Podobnie jest z humorem — powiedział Adalbert. — Dlatego nie widzę powodu, żeby martwić się jego brakiem — dorzucił beztroskim tonem chłopiec.

— Masz ci los — mruknął malarz. — Jaka teza, taki dowód. Staremu potrzebna pełna misa, dzban i dzwicz-

na lira, młodemu wystarczą dyndające cynaderki — rzucił z przekąsem mistrz Symeon, podszedł do stojących przy bramie zbrojnych, tłumaczył im coś cierpliwie przez chwilę pokazując pismo z pieczęcią, a kiedy zbrojni cofnęli swoje halabardy zezwalając na przejście, malarz kiwnął dłonią na Adalberta.

Mnisi przeszli przez bramę i znaleźli się na zamkowym dziedzińcu. Zatrzymali się zdezorientowani nie bardzo wiedząc, w którą stronę mają się udać.

Po lewej stronie ujrzeli budynek z czerwonej cegły, którego budowa została wstrzymana z powodu nadciągającej zimy, bowiem ostatnia warstwa cegieł ułożona została na warstwie słomy zabezpieczającej ściany przed nadchodzącymi mrozami, śniegiem i wiosennymi roztopami. Niedaleko od wznoszonego budynku stała ośmioboczna kaplica z wydłużonym prezbiterium, otoczona szerokimi przyporami, jeszcze bez dachu, ale już z osadzonymi elementami wieży, przy której uwijali się cieśle mający ukończyć dach przed zbliżającą się zimą. Na prawo od tej kaplicy znajdowała się kolejna, wolno stojąca, większa od pierwszej i starsza, co można było bez trudu poznać po drobnych, lecz wyraźnych śladach zniszczeń, jakie pozostawił na niej upływający czas. Z kolei za tą kaplicą wznosiły się częściowo widoczne zabudowania gospodarcze, wśród których łatwo można było rozpoznać kuchnię, łaźnię i piec.

Na prawo od bramy wjazdowej, w południowej części dziedzińca, ciągnęły się zamkowe ogrody. Drzewa posadzone w równych rzędach, owocowe, jak też ozdobne, trudne były o tej porze roku do rozpoznania, bowiem wszystkie jednakowo szare, nagie, bezlistne. Po przeciwnej stronie dziedzińca, w jego północnej części, stał książęcy pałac połączony w jeden gmach z kaplicą oraz pomieszczeniami dworu. Jego mury zewnętrzne nie ustępo-

wały swoją solidnością muirom obronnym zamku, które wzmocniono dwiema basztami usytuowanymi nad dwoma bramami wjazdowymi – południową i wodną.

Mistrz Symeon widział wiele znakomitych budowli, lecz żadna z nich nie miała tak imponujących rozmiarów jak książęcy pałac, którego długość na pierwszy rzut oka ocenił na 25 sążni<sup>1</sup>, zaś wysokość na nie mniejszą, niż dziesięć.

— Wspaniały, prawda chłopcze? — powiedział z podziwem mistrz Symeon. — Królewski zamysł, królewski rozmach, królewskie pieniądze. Kiedy opowiadano mi o wrocławskim pałacu, nie chciałem w te opowieści wierzyć, sądząc, że są, jak to u nas zwykle bywa, grubo przesadzone. Tymczasem widzę, że książę Henryk dokonał wielkiej rzeczy. Kto wie, czy nie większej niż w Płocku, o którym głośno z powodu księcia Bolesława czy w Krakowie, który od Płocka ważniejszy, bowiem przecież nie od dzisiaj zasłużenie nosi miano królewskiej stolicy.

— Ja nie wiem, kto jest ważniejszy i z jakiego powodu, ponieważ ja się na tym nie znam, ojciec — odezwał się Adalbert. — Że pałac księcia Henryka jest wielki i piękny, ja to widzę, lecz mnie to nie dziwi, bo jeżeli pałac jest książęcy, to innym być nie może. Że gród potężny, bramy w nim mocne a mury nie do zdobycia, to też nie jest dla mnie dziwne, bowiem po to się grody stawia, żeby takimi były. To, co wam teraz powiedziałem, ojciec, to nie jest mój sprzeciw wobec waszych słów, lecz moje dla nich poparcie. Ja w ten sposób odpowiem wam zawsze, bo chcę, żebyście usłyszeli ode mnie to, czego usłyszeć się ode mnie spodziewacie. Na wasze tak, odpowiem swoim tak. Na wasze nie, swoim nie. A kiedy będę

---

1   jednostka długości równa rozpiętości ramion, ok. 2m

milczał, moje milczenie będzie również odpowiedzią, chociaż ono także może was nie zadowolić.

Mistrz Symeon patrzył przez chwilę w zamyśleniu na Adalberta, po czym odwrócił się i bez słowa ruszył w stronę książęcego pałacu.

**Z**ima zapowiadała się na krótką i niezbyt dokuczliwą.

Gdyby nie pochmurne dni, prawie zupełnie pozbawione słońca, można by ją było uznać za przedwiośnie. Na Świętego Marcina<sup>1</sup> powiały zachodnie wiatry, śniegi stopniały i ociepliło się na tyle, że można było kontynuować prace murarskie przy kaplicy. Cieszono się z tej nieoczekiwanej odmiany na zamku, radowano się na podgrodzium, bowiem w obu miejscach panowało jednakie przekonanie, że jaki Marcin, taka też będzie nadchodząca zima.

Mistrz Symeon był również zadowolony, ponieważ mógł kłaść tynk pod swoje freski bez obawy, że zaprawa będzie źle wiązała, co z kolei mogło spowodować przesunięcie prac malarskich na kwiecień, zaś w przypadku tęgich mrozów nawet na maj ze względu na znaczne schłodzenie ścian kaplicy. A pracy przed mistrzem Symeonem był ogrom. Kiedy księżę Henryk przedstawił mu swoje oczekiwania, malarz wpadł w popłoch. Ilość, wielkość i forma fresków do namalowania, których księżę od niego żądał, przeraziła mistrza Symeona. Do ich wykonania potrzeba było co najmniej dwóch biegłych w sztuce artystów, lub grupy składającej się z kilku obeznanym z technikami malarskimi doświadczonymi pomocnikami oraz kierującego nimi mistrza. Na podstawie dokonanych pro wizorycznie obliczeń ojciec Symeon

---

1 11 listopad

ustalił, że wykonanie zleceń księcia zajęłoby im, przy sprzyjającej pogodzie i perfekcyjnie zorganizowanej pracy, ponad rok. Jemu zaś od trzech do pięciu lat.

— Niech ojciec idzie do księcia i powie mu, że rezygnuje z malowania — poradził malarzowi Adalbert.

— Dziękuję ci, chłopcze, za dobre serce i wyrozumiałość dla starego człowieka, ale ty nie zdajesz sobie sprawy, czego ode mnie wymagasz — westchnął z rezygnacją malarz. — Po pierwsze, księciu się nie odmawia. Po drugie, on nie przyjmie tego do wiadomości. Po trzecie, nie będzie się nawet starał mnie zrozumieć, ponieważ on jest od wydawania poleceń, a ja od ich wykonywania.

— Skąd się wzięło u was takie przekonanie, ojcze. Jeżeli uświadomicie księciu ogrom zadań, jakie was czekają, książę na pewno was zrozumie. Powinniście przedstawić mu swoje racje i prosić go o wyznaczenie wam takich, z których będziecie mogli się wywiązać — upierał się przy swoim zdaniu Adalbert.

— Masz bez wątpienia słuszość, drogi chłopcze — zgodził się malarz. — Dobry gospodarz nie nakłada na jednego wołu kilku chomątów. Wiem o tym ja, wiesz ty, powinien także wiedzieć książę. Lecz powinien, nie oznacza, że musi — dodał z powątpiewaniem malarz obiecując sobie, że jutro, najpóźniej pojutrze pójdzie do księcia i wyłuszczy mu swoje argumenty.

Minął jeden tydzień, drugi, po nich kolejne wypełnione nieustanną bieganiną ojca Symeona. Były częste spotkania malarza z kanonikiem, który sprawował pieczę nad zamkowymi kaplicami, codzienne ślęczenie nad projektami fresków, prozaiczne gromadzenie narzędzi i niezbędnych materiałów, żeby później nie odrywać się od malowania z powodu braku jakiegoś drobiazgu, który wstrzymałby pracę, lub wręcz ją uniemożliwił. Do tego dochodziły jeszcze spotkania ze stronnikami opata na

zamku, przyjmowanie sekretnej korespondencji, sporządzanie poufnych raportów oraz stały dozór nad przybywającymi na zamek oficjalnymi i tajnymi wysłannikami ojca przełożonego.

Pod koniec marca zamek i podzamcze obiegła sensacyjna plotka, że księżę Henryk ciężko zaniemógł. Opiekujący się księciem medyk Jakub, w trakcie luźnej rozmowy z mistrzem Symeonem, nie potwierdził tej pogłoski, ale też jej nie zaprzeczył. Naciskany mocno przez malarza, który przekonywał medyka, że musi spotkać się z księciem, żeby poinformować go o postępie prac w kaplicy i przedstawić mu swoje najnowsze projekty, medyk oświadczył, że takie spotkanie jest obecnie niemożliwe, ponieważ księżę trochę gorączkuje i niedomaga, a on, jako odpowiedzialny za jego zdrowie, nie widzi powodu, żeby niepokoić księcia sprawami, które mogą na swoje rozwiązanie poczekać.

Jeszcze tego samego dnia mistrz Symeon napisał do opata list, w którym przedstawił ojcu przełożonemu swoje zamierzenia artystyczne na najbliższe miesiące i powiadomił go umownym szyfrem o chorobie Henryka, określając ją jako nagłą, niespodziewaną i wprawiającą najbliższe otoczenie księcia w wielkie zaniepokojenie.

Kilka dni później, ku zaskoczeniu mistrza Symeona, księżę Henryk przyszedł do kaplicy w towarzystwie księdza kanonika. Zachowanie księcia, pomimo jego pogodnego usposobienia i dobrego humoru, wydawało się malarzowi sztuczne, wymuszone i jakby celowo nastawione na przesadnie demonstracyjny pokaz własnej witalności. Błada cera Henryka i jego błyszczące podkrążone oczy świadczyły o czymś zupełnie przeciwnym i utwierdziły malarza w pewności, iż księżę jest niezdrów, a jego lepsze samopoczucie tylko chwilowe, bardziej spowod-



wane książęciem uporem i chęcią publicznego okazania swojej siły niż faktyczną poprawą jego zdrowia.

Mistrz Symeon odłożył pędzle, zszedł z rusztowania, pokłonił się księciu Henrykowi i stał przed nim z lekko pochyloną głową.

— Dawno was nie widziałem, mistrzu — powiedział książę szorstkim głosem, w którym nie pobrzmiwał jednak ton najmniejszego napomnienia, czy chociażby najdelikatniej wyrażonej przygany. — Takie zaniedbanie nie wróży dobrze naszym zamysłom. Brak kontaktu i zrozumienia pomiędzy pomysłodawcą dzieła a jego wykonawcą owocują zazwyczaj błędami. Daj Boże, gdy są one do naprawienia. Gorzej, kiedy stają się nieodwracalne. Tak więc, drogi mistrzu, musimy się spotykać i to jak najczęściej. I nie tylko dla omówienia sposobów realizacji naszych planów związanych z malowaniem. Są też inne sprawy, o których, jak sądzę, nie potrzebuję wam mówić, bowiem wy także macie w nich rozeznanie niezgorsze od mojego, chociaż oglądacie je z innej perspektywy. Dlatego zobowiązuję was, ojcze — książę Henryk zwrócił się do kanonika — do czuwania nad nami. Pilnujcie nas, żebyśmy się ze swoich powinności z mistrzem Symeonem względem siebie wywiązywali solidnie, upominajcie nas, a jeżeli uznacie to za konieczne karćcie bez litości.

— Ja nie pragnę niczego bardziej, książę, od spotkań z wami. Choćby miały być okazjonalne, krótkie, nawet przelotne. Ale żeby były. Bowiem sztuka wymaga od swojego opiekuna i mecenasa stałego nadzoru nad jego twórcą — odparł malarz sprawiając księciu swoją wypowiedzią satysfakcję.

— Oto odpowiedź godna znamienitego artysty — powiedział do kanonika zadowolony książę, po czym zwrócił się do malarza. — A jak się wam widzą nasze plany?

— zapytał i nie czekając na odpowiedź mistrza Symeona ciągnął dalej. — Czy, aby nie nazbyt ambitne? Jak sądzicie? Podolamy im, czy też musimy z niektórych zrezygnować?

— Nie wiem, książę, który projekt wybrać, a który odrzucić. Co mam malować, a czego poniechać — uchylił się malarz od konkretnej odpowiedzi. — Nie do mnie należy podejmowanie takich decyzji. Ja jestem od malowania. Wielkie dokonania świętych mężów wymagają ode mnie upamiętniania ich bogobojnego życia, co czynię wszędzie, i zawsze, z taką samą starannością i z takim samym zapałem. Projekty, które książę raczył wyznaczyć do realizacji, przedstawiają takie właśnie postaci, skromne za życia, bogobojne, wielkie i znamienite, wyniesione na ołtarze naszej wiary, będące dla nas, marnych grzeszników, niedoścignionym wzorem, do którego powinniśmy się starać ze wszystkich swoich sił chociażby zbliżyć.

— Święte osoby w świętych miejscach — powiedział książę. — To dla mnie oczywiste, ojcze. Oglądałem wasze projekty na pergaminach i muszę przyznać, że zrobiły na mnie duże wrażenie, chociaż mam w tej materii pewne zastrzeżenia. Otóż, nie dostrzegłem na nich istotnych, moim zdaniem, szczegółów. Dlatego pytam was, mistrzu, o te projekty także i z tej przyczyny.

— Nie da się na projekcie umieścić detali ze względu na proporcje, bowiem ich rzeczywista wielkość musiała być, w tym przypadku, pomniejszona tyle razy, ile razy pomniejszamy na fresku rzeczy najpierwsze. Zwyczaj więc pomijam je w projekcie, ale umieszczam potem na malowidle.

— I o to mi idzie. Właśnie o te proporcje — przerwał malarzowi książę Henryk. — Na waszym malowidle po-

stać świętego męża jest niewiele większa od okna w kościele, przed którym stoi, a powinno być odwrotnie.

— Ja tak maluję, panie.

— Hmmm — chrząknął zaskoczony książę Henryk. — No tak, tak — przytaknął mimowolnie, jakby przymuszony do tego okolicznościami. — Nowoczesność. Ot, co. Ja to rozumiem — znowu chrząknął, nie bardzo wiedząc, co ma odpowiedzieć malarzowi. — Oderwałem was od malowania nie zdając sobie sprawy, jak wiele czeka was pracy. Malujcie więc, mistrzu Symeonie. Malujcie nie zważając na mnie, a ja stanę sobie z boku i popatrzę chwilę na to wasze malowanie, bo jestem go nadzwyczaj ciekawy.

Ojciec Symeon skłonił przed księciem głowę, wszedł na rusztowanie i zabrał się do malowania. Obecność księcia Henryka deprymowała go i rozpraszała nie pozwalając mu się skupić na malowaniu. Mistrz Symeon miał swoje przyzwyczajenia, którym w trakcie malowania bezwiednie ulegał. Zachowywał się wtedy bardzo swobodnie. Śpiewał pieśni, dyskutował głośno sam z sobą, spierał się z malowanymi postaciami nie przebieając często w słowach. Malując natomiast w obecności obcych, musiał się nieustannie kontrolować, co z kolei nie pozwalało mu na swobodne zachowanie, odizolowanie się od otoczenia i oddanie się bez reszty tworzeniu. Malowanie stawało się dla niego wtedy prawdziwą udręką. Pędzle źle układały mu się w dłoni, farby były zbyt rzadkie i ściekały po podłożu, kształty spod pędzla wychodziły nieforemne, postaci płaskie, ich twarze martwe, oczy puste, bez wyrazu.

Mistrz Symeon, nie mogąc znieść narastającego w nim napięcia, rzucił ze złością pędzle, zsunął się z rusztowania i bez słowa wyjaśnienia wybiegł z kaplicy

zostawiając w niej zdumionego księcia Henryka i wzburzonego księdza kanonika.

Na dziedzińcu zamkowym panował o tej porze spory ruch. Przemykała po nim do swoich obowiązków pałacowa służba. Zajeżdżały fury z cegłą, piaskiem, okorowanymi pniami i tarcicą. Wjeżdżali i wyjeżdżali z niego konni. Skrzypiały koła, rżały konie, ujadały wałęsające się psy. Zewsząd dochodziły do malarza głośne rozmowy i pokrzykiwania.

Mistrz Symeon prześliznął się niepostrzeżenie przez dziedzińiec, minął opactwo, zamkowe ogrody, skręcił ku południowej baszcie i wspiał się na jej szczyt krętymi stopniami. Stał przez chwilę nieruchomo na platformie z trudem łapiąc powietrze, potem podszedł do muru, oparł na nim dłoń, wychylił się zza blanki, omiół spojrzeniem najbliższą okolicę i nie znajdując w niej niczego godnego uwagi spojrzął dalej, na widniejącą na horyzoncie ciemną linię lasu.

Puszcza. Wargi malarza zadrżały, poruszyły się, rozchyliły się nieznacznie i zamarły w bezruchu. Puszcza. Podmuch wiosennego wiatru ochłodził odsłoniętą twarz i szyję malarza, lecz nie ostudził jego rozpalonego wnętrza. Mistrz Symeon patrzył przed siebie. Patrzył daleko. O wiele dalej niż majająca na horyzoncie ciemna krecha dzikiej puszczy. Mrużył oczy i wyteżał wzrok, jakby jeszcze ciągle niepewny tego, co ujrzał i uśmiechał się do przywołanych przez pamięć miłych mu obrazów. Widział zielone wzgórze z klasztorem na jego szczycie, z płynącą u podnóża góry rzeką i traktem, którym podążała z wolna kupiecka karawana eskortowana przez zbrojnych pachołków. Skrzypiały obładowane towarem wozy, parskały konie, szurały po ziemi podeszwy pieszych wznecając za idącymi obłoczki żółtawego kurzu. Pachniało rozgrzaną ziemią, paprocią, igliwem, żywicą i dziką miętą. Ich

zapach był tak mocny i ostry, że malarzowi zakręciło się od niego w głowie.

Mistrz Symeon obliział wargi koniuszkiem języka i poczuł na nim cierpki smak. Zdawało mu się, że siedzi na wozie obok kupca i popija z nim dla wzmocnienia z podróznego gąsiora węgierskie wino. Czuł, jak pieką go stopy i rwą łydki naciągnięte forsownym marszem. Ból był tak dokuczliwy i nieznośny, że malarz postanowił zejść z wozu i pójść dalej pieszo, co byłoby, jak sądził, i trudne, i bolesne, ale za to łatwiejsze do zniesienia niż narastające z każdą chwilą tępe rwanie w nogach, które jeszcze potęgował podskakujący na nierównościach drogi wóz.

Do klasztoru było już niedaleko. Karawana dojeżdżała do miejsca, w którym trakt skręcał w lewo, omijał łagodnym łukiem wzniesienie, następnie zataczał jeszcze jeden łuk, po czym schodził małą pochyłością ku rzece, pławił się w płytkiej wodzie, wychodził z niej na drugi brzeg, biegł przez równinę porośniętą brzezina, głogami i tarnią, i znikał między potężnymi dębami, które stanowiły początek puszczy pokrywającej niezmierzone połacie ziemi jeszcze większej, jeszcze rozleglejszej, jeszcze dzikszej niż ta, która rozciągała się pomiędzy klasztorem a zamkiem na Ostrowiu. Dokąd ten trakt prowadził, wiedzieli tylko ci, którzy dotarli nim do krajów leżących po drugiej stronie puszczy i powrócili stamtąd cali i zdrowi.

Konie stanęły, mistrz Symeon zsunął się z wozu, stał chwilę na drodze patrząc za odjeżdżającą karawaną, po czym ruszył wolnym, nieśpiesznym krokiem w stronę klasztoru. Zaledwie uszedł kilka kroków, usłyszał wołanie i poczuł, że ktoś szarpie go z tyłu za habit. Malarz był przekonany, że to któryś z pacholków kupca dopędził go na drodze i nagabuje z sobie wiadomego powodu. Zdezorientowany odwrócił głowę i zobaczył zdyszanego Adal-

berta, który szarpał go za rękaw i mówił do niego coś, czego w pierwszej chwili malarz nie był w stanie zrozumieć.

— Ojczye Symeonie, wołam was i wołam, a wy jakbyście ogłuchli. Macie się stawić u księcia.

Złudne obrazy i doznania znikły. Mistrz Symeon oprzytomniał.

— Pilnie? — zaniepokoił się.

— Tego nie wiem — odparł chłopiec. — Wiem jedynie tyle, że macie się stawić.

— A kto tobie tak rozkazał? — zapytał niepewnym głosem mistrz Symeon.

— Książdz kanonik.

— Myślałem, że książkę — malarz zawahał się, jakby zastanawiał się czy pytać chłopca dalej, ale zrezygnował i jedynie głośniej westchnął.

— Księcia przy tym już nie było, bo wyszedł z kaplicy zaraz po tym, jak rzuciliście pędzle i wybiegliście na dziedziniec — wyrzucił z siebie jednym tchem Adalbert.

— Książkę był zły? — spytał malarz patrząc z ukosa na Adalberta.

— Śmiał się.

— Śmiał? — zdumiał się mistrz Symeon.

— Tak, ojczye — potwierdził chłopiec — i to na całe gardło. W kaplicy. Potem też, kiedy już szedł przez dziedziniec do pałacu. I to przez cały czas, aż wszyscy przystawali i oglądali się za nim.

— Więc nie muszę — mruknął półgłosem malarz.

— Musicie, ojczye. Książdz kanonik nakazuje wam, żebyście stawili się u księcia i z tym poleceniem mnie po was posłał.

— Ja, mój drogi chłopczy, nic nie muszę. Tak postanowiłem. A jak postanowiłem, tak będzie — powiedział malarz i nie oglądając się na Adalberta zaczął powoli

schodzić krętymi schodami z wieży na zamkowy dziedzi-  
niec.

**K**siążę Henryk był coraz słabszy.

Rzadko widywano go w pałacowych komnatach prze-  
znaczonych dla dworzan, prawie wcale na zamkowym  
dziedzińcu, nie przychodził również do kaplicy, w której  
mistrz Symeon malował wypędzenie Adama i Ewy  
z raju.

Malowanie fresku szło ojcu Symeonowi jak po gru-  
dzie. Minęły dwa miesiące a efekty jego pracy były mi-  
zerne. Przyczynił się do nich także sam książę, który za-  
lecał malować zgodnie z kanonem, kilka dni później na-  
kazywał zastosować nowatorskie rozwiązania, po czym  
znowu wracał do pierwotnego projektu. Kiedy poprawki  
zostały już naniesione, do kaplicy przychodził ksiądz ka-  
nonik z nowym poleceniem księcia, które cały dotych-  
czasowy wysiłek malarza obracało wniwecz. Załamany  
mistrz Symeon zaciskał zęby, zacierał fresk i rozpo-  
czywał jego malowanie od nowa.

Mistrz Wiland<sup>1</sup> uspokajał rozgoryczonego malarza  
tłumacząc mu, że księciem Henrykiem kieruje teraz nie-  
cierpliwość spowodowana jego chorobą, że za kilka, naj-  
wyżej kilkanaście dni, kiedy książę wydobrzeje, wszyst-  
ko się odmieni. Namawiał go również usilnie do odbycia  
z księciem rozmowy w cztery oczy zapewniając, że ksią-  
żę potraktuje przychylnie jego argumentację, a on sam  
wyniesie z tego spotkania osobiste korzyści.

Książę Henryk przyjął malarza w swojej komnacie  
pół leżąc, pół siedząc na łożu, wsparty na poduszkach,  
okryty do pasa wzorzystą narzutą podbitą lisimi futrami.

---

1    nadworny budowniczy Henryka IV

Twarz miał bladą i wychudzoną, kości policzkowe ostre, wystające, oczy błyszczące, wpadnięte w głąb czaszki.

— Mówił mi Wiland, że macie ze mną kłopot — odezwał się Henryk na widok malarza.

— Książę raczej sobie żartować ze starego człowieka, gdy tymczasem jemu wcale nie jest do śmiechu.

— Niech się ojciec na mnie nie obraża. Ja nie mówiłem tego po to, żeby was urazić, ale żeby podrażnić waszą ambicję i przymusić was do wyznania mi wszystkiego, co wam leży na sercu, nawet gdyby miało się to dla mnie okazać niezbyt przyjemne.

— Dziękuję wam, panie, że zechcieliście mi poświęcić swój drogocenny czas, lecz moje sprawy nie są aż tak ważne, żeby zawracać wam nimi głowę i mącić was odpoczynek akurat teraz, kiedy go tak bardzo potrzebujecie. Jednakże mistrz Wiland...

— Widać, że go potrzebuję? — rzucił krótko książę przyglądając się uważnie malarzowi.

Mistrz Symeon gorączkowo szukał odpowiedzi. Daremnie. W głowie miał wielką pustkę. Tak wielką, że sam się jej przeraził.

— Mistrz Wiland — zaczął ponownie malarz, lecz nie dane mu było dokończyć.

— Odpoczynek, ojcie — w oczach księcia pojawił się nieprzyjazny błysk. — Odpoczynek — powtórzył z lekkim zniecierpliwieniem Henryk patrząc znacząco na malarza. — Mówiliście o odpoczynku, którego potrzebuję. Więc zapytam was jeszcze raz. Czy widać po mnie, że potrzebuję odpoczynku?

— Leżycie w łożu, panie...

— To jeszcze nic nie znaczy — odparł twardym tonem książę.

— Mówi się, że raczycie niedomagać...



— Nadzwyczaj delikatne określenie — prychnął Henryk. — Ja wiem, mistrzu, że wy jesteście człowiekiem subtelnym i wystrzegacie się, jak ognia, mówienia drugiemu w oczy tego, co o nim myślicie. Porzućcie jednak swoje szlachetne zasady lub odłóżcie je, chociaż na chwilę — ciągnął dalej książę. — Nie patrzcie też na mnie jak sługa na swojego pana, bo nim nie jesteście — zastrzegł się Henryk. — Powiedźcie mi otwarcie i bez ogródek, jakiego mnie widzicie. I nazywajcie rzeczy po imieniu. Niech one będą takimi, jakimi są w rzeczywistości. Ja wiem, co mi jest, więc nazywanie mojej choroby złym samopoczuciem, niedomaganiem, czy chwilową słabością, jest nierzetelne. Więcej nawet. Jest nieuczciwe. Jeszcze więcej. Jest oszukiwaniem mnie — książę przerwał, patrzył na zmieszanego malarza, by po chwili milczenia zapytać cichym miękkim głosem. — Chcecie, być w obec mnie nieuczciwi?

— Uchowaj Panie — zachnął się ojciec Symeon. — Ja powiedziałem tylko to — malarz zawahał się, przerwał i natychmiast się poprawił. — To znaczy, powtórzyłem tylko to, co mówi się na zamku.

— Wiem, co mówi się o mojej chorobie na zamku. Słyszę te słowa codziennie z ust moich dworzan i służby. Wiem również, co mówią o niej poza moimi plecami. Nie wiem natomiast, co o niej wiedzą. Nie pytam ich o to, ponieważ wiem, co mi odpowiedzą. A co wie o niej mistrz Symeon? — książę przechylił głowę i patrzył wyczekująco na malarza.

— A jakiej odpowiedzi książę po mnie oczekuje?

— Szczerej — padła z ust księcia Henryka błyskawiczna riposta.

— Inna być nie może — zapewnił malarz.

— Więc mówcie — zniecierpliwił się książę uznając, że malarz chce przeciągnąć rozmowę o niczym jak długo

się tylko da, schować się za parawanem uników i pozorów, żeby uciec od odpowiedzi lub zbyć jego pytanie niczym.

— Nie wiem nic ponadto, co wiedzą twoi słudzy, panie — odparł malarz.

— Plotki? Domysły? Przypuszczenia? — wyliczał powoli Henryk spoglądając czujnie na malarza.

— Tak, książę — potwierdził malarz patrząc księciu odważnie w oczy. — Z tą jednakże różnicą, że ja się nimi nie karmię.

— Jeśli jest tak, jak mówicie, to nie mam prawa wam nie wierzyć. Więc wam, ojcze, wierzę, lecz wam nie ufam.

— Powiedziałem tak, jak jest w istocie, książę.

— A więc polityką się nie zajmujecie? — zapytał Henryk spoglądając przenikliwie na malarza.

— Ja jestem tutaj po to, panie, żeby malować.

— Macie też inne zadania, ojcze — uśmiechnął się pobłażliwie książę.

— To prawda — przyznał malarz — lecz tylko częściowa.

— A no, właśnie — westchnął książę Henryk. — Nic mi jednak o tym swoim dodatkowym zajęciu nie powiedzieliście, chociaż sposobności, żeby mi o nim powiedzieć, było sporo. Zapewne uznaliście, mój mistrzu — książę zamilkł na krótko, jakby dla nabrania tchu, lecz w rzeczywistości wyłącznie po to, żeby w sposób szczególny zaakcentować dwa ostatnie słowa — że jest ono tak błahe, że nie warto nawet waszego napomnienia.

— Bo tak jest w istocie, panie — odparł spokojnie mistrz Symeon. — Ja jestem malarzem i malowanie zajmuje mi całe dnie, od wczesnego rana do późnego wieczora. Zapewne są na zamku tacy, którzy wykonują zadania, o których książę był łaskaw wspomnieć. Ja jednak

się do nich nie zaliczam ani też nie mam z nimi nic wspólnego.

— To by oznaczało, że mówiąc, iż macie na zamku do wykonania jeszcze inne zadania, myliłem się?

— Tak, panie.

— A chłopiec? Ten wasz pomocnik?

— Adalbert? — zdziwił się malarz. — Przecież to jeszcze dziecko.

— Ale za to nadzwyczaj rezolutne i niezwykle bystre. Do tego jeszcze, taki — ksiązę zmarszczył czoło — dziwny. Sztuczny, o! Tak bym to określił. I wszystkiego ciekawy. Wszystkim zainteresowany, a przy tym bardzo ostrożny, podejrzliwy i... i czujny — dodał Henryk po chwili namysłu.

— Lecz mimo wszystko dziecko — upierał się mistrz Symeon.

— No tak. Macie rację — zgodził się ksiązę z ociąganiem. — A wracając do tematu, ojciec — chrząknął znacząco Henryk. — Podobno macie ze mną kłopot.

— Nie z wami, panie, lecz z malowaniem — zaprzeczył malarz.

— Mówił mi Wiland...

— Mistrz Wiland musiał wam, panie, przedstawić moją prośbę nazbyt pobieżnie albo niezbyt dokładnie — pośpieszył z wyjaśnieniem malarz.

— Nooo, jeżeli tak twierdzicie, to tak zapewne jest. A czego po mnie oczekujecie?

— Waszej pomocy, ksiązę — odparł malarz.

— Macie ją od początku.

— I waszego zrozumienia — dodał szybko mistrz Symeon.

— Czyżby go wam brakowało? — zdziwił się ksiązę.

— Nie, panie. Waszego zrozumienia jest w nadmiarze i to wypełnionego po brzegi waszym zatroskaniem

o wszystko, z czym tylko przychodzi mi się mierzyć przy malowaniu — powiedział malarz.

Książę wybuchnął śmiechem. Śmiał się długo, serdecznie, do łez i tak głośno, że drzwi komnaty otworzyły się i pojawili się w nich zaniepokojeni dworzanie. Wśród nich medyk Jakub, który wbiegł do komnaty, stanął przy łóżu i patrzył na księcia z wyrzutem w oczach.

— A cóż tak srogo na mnie patrzysz, mój magistrze? Czyżby martwił ciebie mój śmiech? — zapytał książę kpiącym tonem i nie czekając na odpowiedź medyka dodał. — Widzę też wielkie poruszenie wśród dworzan. Czyżby oni, podobnie jak ty, również byli zmartwieni? Spójrzcie na nich, mistrzu — książę zwrócił się do malarza. — Stoją jak wmurowani i cierpią. Czy to nie jest przykry widok dla ich pana?

— Przykry i bolesny, książę — przyznał mistrz Symeon.

— No, właśnie. I bolesny. Macie rację, ojczcie. Tak bolesny — Henryk zwrócił głowę w stronę medyka oraz tłoczących się w drzwiach dworzan — że nie mogę spokojnie patrzeć na ich cierpienie. Zwalniam was zatem z waszych obowiązków do zachodu słońca. Idźcie i wypoczywajcie — książę uniósł się na posłaniu nakazując jednoznacznym gestem dłoni opuszczenie sługom komnaty, a kiedy medyk Jakub zamykał za sobą drzwi, Henryk podniósł w górę wskazujący palec i dodał tonem, w którym słychać było wyraźne ostrzeżenie — do zachodu słońca. — Odczekał, aż drzwi zostaną zamknięte i spokojnie, jakby nic się nie wydarzyło, zwrócił się do malarza. — Obiecuję wam, ojczcie Symeonie, koniec wszelkich kłopotów. Jesteście zadowoleni?

— Zawsze nim byłem, panie — malarz położył prawą dłoń na swojej piersi i pochylił lekko głowę.

— Widzę, że chcecie wytargować u mnie więcej, niż to jest możliwe — odparł Henryk, zamilkł, zamknął oczy i znieruchomiał, jakby spał, albo nasłuchiwał.

Książę milczał, czas płynął.

Malarzowi zdawało się, że słyszy jego powolny ciurkot. Czekał i milczał również on, bowiem nie godziło się zamykać ciszy, którą otworzył książę. Czekał więc i milczał starając się nie patrzeć na księcia, którym zaczęły targać bolesne skurcze i wymiotne konwulsje, zastanawiając się gorączkowo, jak powinien się zachować. Opuścić komnatę i biec po pomoc, wołać głośno medyka, czy też starać się samemu ulżyć cierpiącemu księciu. Zanim się zdecydował, usłyszał głos księcia:

— Nie mówcie nikomu, coście tutaj widzieli.

Malarz skinął w milczeniu głową.

— Wiem, że nie był to dla was widok przyjemny — powiedział książę. — Wolałbym, żebyście go nie oglądali. Ale stało się. Nic na to nie poradzę. Atak, jak widzieliście, przychodzi znienacka. Medyk Jakub twierdzi, że można go przewidzieć i złagodzić. Podaje mi mikstury i pilnuje, żebym te jego świństwa wypijał do ostatniej kropli. Poi mnie nimi jak nie przymierzając krowę. Medyk Guncelin wiesza mnie za nogi, pcha paluchy do gardła i zmusza do wymiotowania. Zabrania mi wszystkiego. Jedynie chleb i mleko. A i to pod jego kontrolą, żeby nie za dużo na raz, żeby czasem nie do syta. Ani kęsa pieczystego, ani łyżeczka wina. Tak się na tym jego karmieniu utuczylem, że nie dam rady dojść o własnych siłach do ogrodu. Jeden lepszy od drugiego, a obaj diabła warci — skwitował zgryźliwie książę. — Nie tracę jednak nadziei i mocno ufam, że z pomocą Pana przezwycięzę moją słabość.

— W Panu nadzieja — szepnęła ojciec Symeon i uczynił w powietrzu znak krzyża.

— W Panu i w tych, którzy są — książę zamilkł, zaczął kaszleć, przesunął się na skraj łoża, wyciągnął przed siebie głowę i podparłszy ją dłońmi zwymiotował na posadzkę. Leżał chwilę nieruchomo, po czym ułożył się w pościeli na plecach i dał znak, żeby malarz zbliżył się do niego. — Daję wam, mistrzu, pełną swobodę w malowaniu. Malujcie wedle swojego zamysłu ku chwale nieba i pożytkowi sztuki. Takie prawo wam daję i nikt na zamku nie odważy się go wam odebrać. Idźcie więc i malujcie tak, jak nakazuje wam wasza wyobraźnia i jak czuje wasza dusza. Mam tylko jedno życzenie, byście przed turniejem namalowali mój portret.

— Wasze życzenie jest dla mnie rozkazem, panie — malarz skłonił przed księciem głowę i stał oczekując dalszych poleceń.

— A teraz, ojcze, zostawcie mnie samego. Jestem zmęczony — powiedział książę i gdy malarz był już przy drzwiach, dodał. — Powiedźcie medykowi, że pilnie go potrzebuję. Ale powiedźcie mu o tym na ucho. I niech nikogo nie alarmuje.

**P**omimo choroby księcia przygotowań do turnieju rycerskiego nie przerwano.

Na podzamczu, wśród ciągle spragnionej plotek gawiedzi, krążyła pogłoska, iż księżna Matylda chciała wyśmiec na księciu odwołanie turnieju lub chociażby przełożenie go do czasu wyzdrowienia męża. Henryk jednak uważał, że jego słabość jest chwilowa, a ponieważ turniej miał się odbyć za kilkanaście tygodni, zdąży wydobrzeć na tyle, żeby wziąć w nim udział.

A turniej zapowiadał się nadzwyczaj okazale. Do udziału w nim zaproszono rycerzy pochodzących ze znakomitych rodów, nierzadko książęcych, jak również ta-

kich, którzy sławę, uznanie i fortuny zdobyli zwyciężając w najbardziej renomowanych turniejach całej Europy. Wspominano też przy okazji, jeden z ostatnich turniejów w księstwie, który miał miejsce w Nysie<sup>1</sup>, obawiając się, żeby obecny nie zakończył się podobnymi spustoszeniami. Przyszłe straty nie przerażały jednak nikogo wobec atrakcji, jakie miała przynieść spragnionym rozrywek i uciech mieszkańcom zamku i podzamecza kilkudniowa zabawa.

Książę Henryk był znanym orędownikiem kultury rycerskiej, jej gorącym wielbicielem, także miłośnikiem turniejów, jak też częstym ich uczestnikiem. Potykał się w rycerskich pojedynkach konno i pieszo, mierzył się na kopie i miecze, brał udział w konkursach poetyckich, współzawodniczył jako bard sławiąc w skomponowanych przez siebie pieśniach szlachetne dokonania rycerskiego stanu. Nie ograniczał się wyłącznie do występów w turniejach, lecz również urządzał je na swoich włościach. Obecny, godny przyszłego monarchy, miał być najwspanialszym ze wszystkich, jakie dotychczas zorganizowano a swoim przepychem, wspaniałymi nagrodami i licznymi atrakcjami dorównać miał najśłynniejszym turniejom urządzanym we Flandrii i Niderlandach.

Adalbert żył jak w gorączce.

Chłopiec wymógł na ojcu Symeonie zwolnienie z prac i posług, przy których jego obecność nie była konieczna lub z którymi malarz dawał sobie radę i pędził na podzamecze ciekawy krążących wśród jego mieszkańców najświeższych wieści i plotek na temat zbliżającego się turnieju, lub na błonia, gdzie na przyszłym polu turniejowym stawiano model książęcego zamku z dwiema wieżami i bramą, grodzono tereny przeznaczone pod przyszłe potyczki, budowano dla szlachetnie urodzonych biało-

---

1 1284 r.

głów i niewiast platformy, z których będą mogły bezpiecznie oglądać toczące się walki rycerskie oraz wytyczano kwartały dla widzów pochodzących z niższych stanów, zamkowej służby, pospólstwa i zwyczajnej gawiedzi.

Cały turniej, razem z towarzyszącymi imprezami, miał trwać pełny tydzień i dostarczyć widzom niezapomnianych przeżyć i wrażeń. Jego uroczyste otwarcie zaplanowano na poniedziałek widowiskiem teatralnym połączonym z pokazami żywych obrazów oraz występami trubadurów wykonujących pieśni rycerskie. We wtorek i środę miały się odbywać pojedynki rycerskie. W czwartek potyczki drużyn. W postny piątek walki i zabawy miały być na jeden dzień przerywane. W sobotę urządzano polowanie na grubego zwierza, zaś w niedzielę turniej kończono ucztą w pałacu dla szlachetnie urodzonych panów, dam i znamienitego rycerstwa, na dziedzińcu dla rycerzy pomniejszego znaczenia, giermków oraz książęcej służby.

Na podzamczu mówiono, że wśród rycerzy biorących udział w turnieju będą synowie rodów królewskich Czech i Węgier, hrabiowie z Flandrii, Brabancji i Szampanii, panowie z Włoch, Hiszpanii a nawet dalekiej Skandynawii. Mają się oni potykać ze sobą pieszo i konno, na miecze i kopie, do pierwszej krwi, rzucenia białej chusty, jak też na śmierć i życie. Spragnionych sensacji słuchaczy raczono niesamowitymi opowieściami, często okrutnymi, mrozącymi krew żyłach, dla uwiarygodnienia których opowiadający je zaklinali się na wszystkie świętości twierdząc, że pochodzą one z ust naocznych świadków. Byli wśród opowiadających również tacy, którzy śmierć rycerzy oglądali na własne oczy. Podobno na jednym z ostatnich turniejów w Czechach z potykającego się w szrankach rycerstwa zginęło czterech jego uczestni-



ków, w Saksonii szesnastu, a w Neuss osiemdziesięciu. Ginęli królowie, książęta, lordowie, prości rycerze, giermkowie i pospolici słudzy. Gawiedź z podzamcza, opowiadająca sobie z wypiekami na twarzy i dreszczykiem emocji te wszystkie zasłyszane, częściej jeszcze zmyślane historyjki, przebijała się w swoich opowieściach zwielokrotnionymi liczbami poległych i kalek, przedstawiając turnieje rycerskie żądnym sensacji słuchaczom, jako krwawe jatki.

Wszystkie te budzące grozę opowieści Adalbert przynosił na zamek i dzielił się nimi z ojcem Symeonem, który jednym uchem ich słuchał, a drugim wypuszczał.

— Na podzamczu mówią, że będzie masakra.

— A któż chciałby ją czynić i w jakim celu? — odparł z powątpiewaniem malarz.

— Mówią, że na tym turnieju, co go nasz książę zwołuje latem tego roku.

— Nie wydaje mi się — rzekł zakonnik chcąc zakończyć rozmowę z chłopcem i skupić się na malowaniu portretu księcia Henryka.

— Takie rzeczy zdarzają się podczas turniejów i to często, ojcze.

— Doprawdy? — mruknął malarz.

— Nie tak dawno, na turnieju pod Paryżem, zginął syn angielskiego króla<sup>1</sup> — powiedział Adalbert.

— To pewne?

— Jak to, że dzisiaj mamy wtorek — odparł niewzruszonym tonem Adalbert.

— A od kogo ta wiadomość?

— Od kowala — odparł chłopiec.

— Kowala z podzamcza, jak sądzę — stwierdził malarz ze stoickim spokojem i kpiącym błyskiem w oczach.

— Tak, ojcze.

---

1 Henryka II Geoffroy`a

— I on to widział — mruknął wytrącony z równowagi malarz.

— Nie, ojcze. Jemu opowiedział o tym rzeźnik.

— Też z podzamcza, i ten, jak mniemam, był naocznym świadkiem śmierci królewskiego syna — nie przestawał kpić malarz.

— Nie, ojcze. On tego nie widział. Jemu o tym całym zdarzeniu też opowiedziano — odrzekł chłopiec.

— Najpewniej szewc.

— Dlaczego szewc? — zdziwił się Adalbert.

— Jeżeli nie szewc, to krawiec.

— Kupiec bławatny.

— Ach, tak — mruknął malarz. — A kto opowiedział kupcowi?

— Nie wiem, bo kowal tego mi już nie powiedział — przyznał zaskoczony Adalbert nie pojmując, po co malarz wypytuje go o takie szczegóły.

— Rozumiem chłopcze. Wszystko jest teraz dla mnie jasne jak słońce. Ty opowiedziałeś o tym mnie, a ja mam opowiedzieć księciu.

— Ależ, ojcze Symeonie — zachnął się chłopiec — ja opowiadam ojcu, co usłyszałem, a ojciec sobie ze mnie pokpiwa.

Urażony Adalbert odwrócił się do malarza ostentacyjnie plecami, podszedł do ławy, na której stały kamionki, wsypał do moździerza minerał i zaczął ucierać go na pył, chrzęszcząc przy tym tłuczkiem, jakby umyślnie na złość malarzowi.

Mistrz Symeon patrzył przez chwilę na zapracowanego chłopca, uśmiechnął się zagadkowo i dziwnie rozweselony zabrał się do malowania portretu.

Po ostatniej rozmowie z księciem Henrykiem, mistrz Symeon przerwał malowanie fresku w kaplicy i zajął się portretem księcia. Po dwóch tygodniach wytężonej pracy

na płótnie pojawiła się pogodna twarz o ciemnych oczach i bystrym, przenikliwym spojrzeniu. Uniesione leciutko kąciki ust zdobił ledwie zarysowany grymas zniecierpliwienia połączony z zagadkowym uśmiechem. W prawej ręce Henryk trzymał wzniesiony w górę miecz, w lewej tarczę z czarnym orłem. Jego ałłasową tunikę z wyhaftowanymi białymi liliami przepasywał rycerski pas nabijany złotymi guzami, a zarzucony na ramiona długi, purpurowy płaszcz podbity futrem z gronostajów i zdobiony złotymi orłami oraz czarne trzewiki ze srebrnymi ostrogami dopełniały książęcego stroju. Na głowie księcia lśniła blaskiem królewska korona, spod której na okrytą złoconym półpancerzykiem pierś spadały długie trefione włosy. Od całej postaci biła powaga i dostojęństwo znamięmujące w niej szlachetnego rycerza i wielkiego monarchę.

Pod koniec maja portret księcia był ukończony, lecz niezadowolony z niego mistrz Symeon ciągle jeszcze robił na nim jakieś poprawki. Stawał przed obrazem, wpatrywał się w niego spod przymrużonych powiek, a kiedy dostrzegł niezadowolający go szczegół, krzywił się z niesmakiem, podchodził do portretu i nanosił zmianę, po czym znowu odsuwał się od obrazu i ponownie zastygał w bezruchu. Przeszkadzało mu wtedy wszystko. Drażnił go głos Adalberta, szuranie po posadzce jego sandałów, zgrzyt ucieranej w mózdzierzu farby, pociąganie nosem, ziewnięcie, głośniejszy oddech. Przeszkadzała mu nawet sama obecność chłopca w pracowni.

Adalbert, wykorzystując ciche przyzwolenie ojca Symeona, wymykał się chyłkiem z zamku i pędził na podzamcze, do jego tętniących życiem uliczek, krążących po nich plotek, wesołości, szeptanych na ucho tajemnic, niepewnych i niemożliwych do sprawdzenia, ale za to przyspieszających bicie serca i karmiących do syta jego chło-

pięć wyobraźnię spragnioną wszelkich dziwności, tajemnic i sensacji.

Na początku czerwca prace na błoniach ustały. Przez podzamcze przeleciała lotem błyskawicy sensacyjna wieść: turniej odwołany! Jedni w nią uwierzyli, inni powątpiewali. Byli też tacy, którzy uznali ją za plotkę rozpuszczaną umyślnie przez przeciwników Henryka dla siania w księstwie zamętu.

Kiedy jednak zaczęto rozbierać model zamku, dla mieszkańców podzamcza stało się oczywiste, że wiadomość była prawdziwa, a jej przyczyn należy szukać na zamku. Rozpytywano służbę, nagabywano zarządców i nadzorców, analizowano panujące w pałacu nastroje. Bez rezultatu. Nikt nie znał przyczyny, dla której stawiane z takim zapałem oraz wielkim nakładem sił i środków obiekty były teraz w takim pośpiechu rozbierane.

Adalbert przestał wymykać się na podzamcze. Towarzyszył ojcu Symeonowi w jego pracowni od rana do wieczora. Zjawiał się przy malarzu na każde jego skinienie, zawsze czujny, zawsze gotowy do posługi a przy tym małomówny, odpowiadający malarzowi na jego pytania półsłówkami lub skinieniem głowy.

Mistrz Symeon nie interesował się zupełnie tym, co działo się na zamku. Nie zabiegał o znajomości. Nie wchodził w układy z dworzanami księcia. Nie obchodziły go prowadzone w pałacu wojny i wojenki o stanowiska, wpływy i zaszczyty. Malował, patrzył, słuchał. Przyjmował posłańców opata, pisał do niego listy, w których informował go o sytuacji na zamku, zdając sobie sprawę, że nie jest jedynym informatorem opata, więc pominięcie w raporcie jakiegoś szczegółu potraktowane będzie jako przeoczenie spowodowane brakiem bystrości umysłu zgrzybiałego starca, po którym przecież nie należy się już zbyt wiele spodziewać. I tak też najpewniej do-

niesienia malarza były przez ojca przełożonego traktowane, bowiem kiedy w jednym z listów malarz napisał mu, że księżę przypomina człowieka, którego się z rozmysłem truje, opat pominął tą nadzwyczaj ważną informację zupełnym milczeniem.

Na początku czerwca mistrz Symeon ukończył portret księcia i poprosił księdza kanonika o przekazanie tej wiadomości Henrykowi przy pierwszej nadarzającej się sposobności.

— Dobrze, ojcze — odparł kanonik unikając wzroku malarza. — Zrobię, o co prosicie, ale nie mogę wam obiecać, że otrzymacie od księcia odpowiedź, jakiej się spodziewacie — ksiądz kanonik zawahał się. — Jakąkolwiek odpowiedź — dorzucił, dając malarzowi do zrozumienia, że żałuje tego, co mu właśnie przed chwilą powiedział i żeby już niczego dalej nie wyjaśniać ani się przed nim nie tłumaczyć, zostawił go na dziedzińcu, a sam udał się w pośpiechu do pałacu.

W noc Kupały zapłonęły na błoniach wielkie ogniska. Ruszyli w szalone tańce igrce i przebierańcy. Ich podniecone głosy niosły się ponad błoniami i podzamczem, docierały do murów książęcego zamku, który tonął w półmroku bezksiężycowej nocy. Żadnych świateł, żadnego ruchu, żadnych odgłosów życia. Jedyne wprawne i dobrze wyrobione oko zdolne było dostrzec na tle ciemnego nieba ciemniejsze od niego sylwetki czuwających na wieżach strażników, zaś wrażliwe ucho wyłowić ich czujne nawoływania. Tymczasem na błoniach bawiono się szumnie, radośnie, folgując bez skrępowania swoim zachciankom i uciechom, nie przejmując się zupełnie tym, co przyniesie nadchodzący dzień.

Następnego dnia, równo z brzaskiem, kiedy po całonocnej zabawie na opustoszałych błoniach dogasały

ostatnie ogniska a siwe smużki dymów wspinały się cierpliwie do nieba, na zamku rozdzwoniły się dzwony.

Kilka chwil potem do celi mistrza Symeona wbiegł ksiądz kanonik, potrząsnął bezceremonialnie malarza za ramię, szepnął mu coś do ucha, czego na wółprzymy, wyrwany z głębokiego snu malarz nie zrozumiał z wyjątkiem wydanego mu polecenia, że ma natychmiast udać się z księdzem kanonikiem do księcia Henryka w niezwykle ważnej sprawie.

Zakonnicy pokonali pędem dziedziniec, przebiegli zamkowe korytarze i znaleźli się w pałacu.

Kiedy zdyszany biegiem, na wółprzymy, nie całkiem jeszcze rozbudzony mistrz Symeon ujrzał otwarte na oścież drzwi książęcej komnaty, stojących w nich dworzan i księcia Henryka leżącego w łożu nieruchomo, w pozycji, która już na pierwszy rzut oka wydała mu się dziwną, zrozumiał przyczynę pośpiechu księdza kanonika.

Książę leżał na pościeli odkryty, dłonie miał splecione na piersi, twarz koloru wosku zimną, zastygłą, powieki zamknięte. U jego wezgłowia paliły się świece. Ich chybottliwe cienie błędziły po ścianach komnaty, pełgały po książęcym łożu i twarzach klęczących przy nim ludzi. Skwierczały knoty, szumiały przyciszone głosy modlących się dworzan i sług zgromadzonych w komnacie.

Mistrz Symeon przecisnął się między ludźmi, uklęknał obok łoża, przeżegnał się, pochylił głowę i przyłączył się do wspólnej modlitwy.

**P**ogrzeb księcia Henryka odbył się trzy dni po wigilii św. Jana.

Upały nie pozwoliły opóźnić jego terminu pomimo, że nalegała na to usilnie księżna Matylda. Ciało księcia zło-

żono w kolegiacie nowego kościoła<sup>1</sup>, odprawiono msze oraz stosowne uroczystości zakończone konsolacją<sup>2</sup>, po czym żałobnicy rozjechali się, a na zamek i podzamcze powróciło zwyczajne życie z jego codziennymi kłopotami.

Mistrz Symeon wysłał do opata list, w którym opisał pogrzeb księcia Henryka, panującą na zamku atmosferę oraz przedstawił związane z tym smutnym wydarzeniem swoje przemyślenia i refleksje. Na koniec powiadomił ojca przełożonego, iż swój dalszy pobyt na zamku uważa za bezcelowy, że czuje się stary, zmęczony i coraz częściej nie potrafi uwolnić się od wewnętrznego przekonania, że jego miejsce jest w klasztorze i zamierza do niego powrócić tak szybko, jak to będzie możliwe.

Po pogrzebie księcia Henryka ojciec Symeon przerwał malowanie fresku w rodowej kaplicy księcia, zaś po kilku kolejnych dniach zarzucił je zupełnie. Ponieważ innych obowiązków poza malowaniem nie miał, nie licząc posług wykonywanych z własnej woli przy księdzu kanoniku, ani też nikt na zamku nie obarczał go żadnym dodatkowym zajęciem, malarz całymi dniami snuł się po zamkowych murach obserwując z nich najbliższą okolicę lub podglądając życie mieszkańców podzamcza. Kiedy podpatrywanie go nudziło, patrzył tęsknym wzrokiem na widniejące na horyzoncie ciemne pasmo puszczy, szybując wtedy myślami jeszcze dalej, do miejsca, które opuścił jesienią ubiegłego roku. Czas ten wydawał się malarzowi bardzo krótki, kiedy przebiegał go pamięcią i jednocześnie bardzo długi i rozległy, kiedy zapełniał go wydarzeniami, których był naocznym świadkiem lub ich mimowolnym obserwatorem. Rozbieżność w takim właśnie widzeniu świata przerażała mistrza Symeona. Jak niewie-

---

1 Św. Krzyża

2 uroczysta uczta po pogrzebie

le znaczymy, myślał, i jak równie niewiele potrzeba, żeby dać się omamić złudzeniom, zapomnieć o prawdziwym sensie życia i trwać do końca swoich dni w otumanienu. Bo czymże w istocie jest nasze życie, jak nie króciutkim błyskiem na wielkim firmamencie trwania, podobnym do błysku spadającej gwiazdy. Zapali się, rozbłyśnie na mgnienie i zgaśnie. Zwróci tym błyskiem na siebie uwagę innych, to prawda. Niektórych nawet oślepi – jednych na krótko, innych na dłużej. I to też prawda. Kiedy zgaśnie, wprowadzi chwilowy zamęt. Będzie smutek, żal, nawet rozpacz, że taka jasność, że taka wielkość. Będą łzy i szlochania, lecz chwilę potem firmament rozjaśni się nowym błyskiem i tamten żal, tamten smutek, i tamta rozpacz przeminą i znikną tak samo, jak tamta jasność i tamta wielkość. A potem okaże się, że tamta jasność nie była aż taka jasna, że tamta wielkość nie była aż taka wielka, a tamte żale, smutki i rozpacz użyte zostały jedynie na doraźną potrzebę tamtej, minionej już chwili. Bo zapala się, żeby zgasnąć. Przychodzi się, żeby odejść i odchodzi się, żeby nie powrócić.

Mistrz Symeon westchnął, przeżegnał się, oparł się plecami o blankę i zapatrzył się na zamkowy dziedziniec.

Minęło zaledwie kilkanaście dni od śmierci księcia a życie na zamku zdążyło już powrócić do tego samego rytmu, jaki wyznaczał jego bieg za księcia Henryka. Smutek zastąpiła radość, żal zmienił się w refleksję, zaś początkowy bunt i niezgoda w mniej lub bardziej solidne wypełnianie swoich obowiązków. Piekarze nie zaprzestali wypiekać chleba, krawcy szyć koszul, służba sprzątać, straż czuwać, bydło ryczeć, kury gdakać, ksiądz kanonik odprawiać nabożeństw, lud z podzamcza modlić się i podlić. Więc co wydarzyło się naprawdę, zastanawiał się ojciec Symeon. Właściwie nic, z wyjątkiem tego, że zmarł książę. Wie o tym, kto musi. Pamięta, kto chce.



Malarz westchnął i niechętnie, z ociąganiem, ruszył w stronę wieży, lecz kiedy tylko dostrzegł na zamkowym dziedzińcu kanclerza Mikołaja rozmawiającego z księdzem kanonikiem, poderwał się jak rumak dźgnięty ostrogą i popędził, ile sił w nogach, najpierw koroną murów, potem schodami wieży w dół, przeskakując po dwa stopnie naraz, gnany tylko jedną myślą – zdążyć. Nie zdążył. Kiedy znalazł się na dziedzińcu, kanclerza na nim już nie było.

— A dokąd tak kłusujecie? — zawołał kanonik zdumiony zachowaniem malarza.

— Teraz już donikąd — odparł malarz zatrzymując się przy kanoniku. — Chciałem, korzystając z okazji, z kanclerzem, lecz jak widzicie, nie zdążyłem — powiedział z żalem. — Zaprzestałem malowania, no i nie wiem, co dalej. Malować, jak nakazał mi książę Henryk, czy też nie malować?

— Róbcie, ojcze, jak uważacie. Chcecie, malujcie. Nie chcecie, to nie malujcie.

— A cóż tutaj znaczy, chcecie albo nie chcecie — powiedział urażony malarz. — Potrzebne są pieniądze, bo brakuje mi farb, oleju, wapna, a bez nich fresku zrobić się nie da. Dotąd dawał na wszystko książę, kto dzisiaj, trudno zgadnąć.

— Pewnie nikt, ponieważ nikomu teraz na zamku, jak mi się zdaje, na ukończeniu waszego malowidła nie zależy — odparł książę kanonik. — Nowy pan, nowe porządki. Nowe porządki, nowe sprawy do załatwienia. A ponieważ nowe, to i ważniejsze od waszego malowania — dorzucił kanonik widząc niepewną minę malarza.

— Ale sztuka, ojcze — jęknął zgnębionym głosem malarz.

— Nowy pan sztuką nie żyje — przerwał malarzowi książę kanonik — więc się nie dziwcie, że została ze-

pchnięta na szary koniec. Tak szary i tak odległy, że stąd jej nie widać. A jeżeli czegoś nie widać, to tego nie ma. A jak tego nie ma, to po co się tym zajmować?

— Smutne słowa, bracie — zasepił się malarz.

— Smutne, lecz prawdziwe — rzekł kanonik. — A mówię wam o tym dlatego, że was szanuję i pragnę uchronić przed niepotrzebnymi przykrościami. Książę Henryk wyróżniał was przy każdej sposobności i z tego też powodu uchodziliście w pałacu za jego faworytem, a to się wielu ludziom z jego otoczenia nie podobało. Teraz, kiedy nadarza się okazja, mogą was kąsać.

— Dziękuję wam za ostrzeżenie. Ostrożności nigdy za wiele. Przyznaję, iż nie pamiętam, żebym kogokolwiek na zamku skrzywdził, czy chociażby uraził jednym krzywym słowem — powiedział stropiony malarz. — Ale jeżeli mówicie, że będą kąsać, to muszę się pilnować.

— Ja nie powiedziałem, że komukolwiek wyrządziliście krzywdę — zaprotestował ksiądz kanonik. — Ja was tylko ostrzegłem przed tymi, którzy lubią kąsać. A takich na zamku nie brakuje.

— No tak, tak. Macie rację — przytaknął malarz i żeby zmienić temat rozmowy na mniej przykry spytał. — A kto teraz panem na zamku?

— Książę głogowski.<sup>1</sup>

— Czy to pewne? — zapytał malarz z niedowierzaniem.

— Pewniejsze od tego być już nie może, jako że zgodne z testamentem zmarłego księcia. Zapisy już sporządzone i opieczętowane, a ostatnią wolę księcia Henryka poświadczyli obecni przy nim, w jego ostatnich chwilach, biskup Tomasz i inni znaczni panowie.

— No, tak — westchnął malarz. — Tak, rzeczywiście — dodał tracąc nagle ochotę do rozmowy.

---

1 Henryk III Głogowczyk (1251-1309)

Stał przed księdzem kanonikiem wyraźnie przygnębiony tym, co usłyszał, nie bardzo wiedząc, co ma uczynić, po czym wymówił się pilnym zajęciem, pożegnał się pośpiesznie z kanonikiem, przekroczył południową bramę, zszedł na podzamecz i chodził jego uliczkami do wieczora rozmyślając nad czymś głęboko poruszony, smutny, przygnębiony. Do opactwa wrócił po zmierzchu, wszedł do celi, zmówił wieczorne pacierze, usiadł na ławie, oparł się plecami o ścianę i przymknął oczy. Siedział otępiały, zmęczony, o niczym nie myśląc, zadowolony z ciszy, która go otaczała i samotności, którą nie musiał się z nikim dzielić. Ocknął się, gdy usłyszał skrzypnięcie drzwi.

Wrócił Adalbert. Chłopiec wszedł do celi cicho jak duch, chciał przemknąć obok malarza, lecz pochwycony przez niego za rękę jęknął boleśnie.

— Co ci jest, chłopcze?! — zawołał półszepcetem wystraszony malarz.

— Obili mnie — odparł półgłosem Adalbert. — Kijami — dodał z wahaniem.

— Kto? — zapytał malarz, chciał wypytać chłopca dalej, lecz nie zdołał, ponieważ z wrażenia zaschło mu w gardle.

— Nie wiem, ojczu.

Długą chwilę w celi panowała cisza, w której słychać było przyspieszone oddechy malarza i chłopca.

— Rozpoznasz ich? — zapytał drżącym głosem malarz.

— Nie, ojczu. Mieli na głowach kaptury.

Mistrz Symeon zapalił łożówkę i przy jej świetle uważnie obejrzał rany Adalberta. Nie były groźne. Dwie pręgi na plecach chłopca, lekko zsiniałe, nabiegłe krwią, powstałe najprawdopodobniej od uderzenia powrozem, trzecia na prawym ramieniu i siniak na udzie, zapewne

od uderzenia kijem. Kości całe, twarz bez żadnego urazu. Malarz odetchnął z ulgą.

— Gdzie ciebie napadli?

— Na dziedzińcu. Zaraz za bramą. Przy tych niedokończonych murach.

— Ilu ich było?

— Kilku. Trzech, albo czterech — Adalbert nie był pewny. — Zaskoczyli mnie, ale szła straż do południowej wieży, oni skoczyli za mur a ja, klucząc, pędem przed siebie.

— Miałeś niebywałe szczęście. Następnym razem może go braknąć. Albo — malarz zawahał się — drugiego razu może już nie być. Dlatego zabraniam tobie chodzić samemu. Zrozumiałeś? — spytał chłopca patrząc mu głęboko w oczy.

Adalbert skinął w milczeniu głową.

Następnego dnia, po porannej mszy odprawionej w pałacowej kaplicy, ojciec Symeon wszedł do zakrystii i poprosił księdza kanonika o rozmowę.

— Mówcie ojcze, słucham — kanonik ściągnął ornat i zwrócił się ku malarzowi, lecz kiedy zobaczył jego zakłopotaną minę, zapytał niepewnie. — O co chodzi?

— Nie tutaj, księżę kanoniku — powiedział półgłosem malarz dając księdzu do zrozumienia, że chce z nim rozmawiać z dala od ludzkich oczu i uszu.

— Czekaście na mnie w ogrodzie — szepnął kanonik.

Ich spotkanie wyglądało na przypadkowe. Oto dwaj księża udali się do ogrodu dla relaksu, modlitwy i kontemplacji, natknęli się tam na siebie i spacerują wspólnie między drzewami. Trudno było z ich obojętnych min zorientować się, o czym rozmawiają.

Ksiądz kanonik był wstrząśnięty tym, czego dowiedział się od malarza.

— Miejmy nadzieję, że to tylko zbieg okoliczności — kanonik przerwał na krótką chwilę, a potem mówił dalej. — Ale takiej pewności przecież nie mamy, zaś na dociekanie prawdy mogliby sobie w tej sytuacji pozwolić jedynie ludzie naiwni lub głupcy.

— Co więc robić? — zapytał zdezorientowany malarz.

— Jeżeli napad był zamierzony, to oznacza, że grozi wam niebezpieczeństwo. Mogli też napaść na chłopca, żeby was postraszyć i dać wam do zrozumienia, że nie cofną się przed niczym. Tak czy siak, zagrożenie istnieje, jest realne i nie należy go lekceważyć — rzekł kanonik.

— Może kanclerz, albo księżna Matylda — wtrącił malarz — przecież księżę Henryk...

— Nie bądźcie naiwni — przerwał malarzowi zniecierpliwiony kanonik — Księcia Henryka już nie ma, jego dziedzictwo rozebrano, a to, co z niego pozostało, jest już w innych rękach. Jakich? Nie wiem. Wiem natomiast, że na pewno nie takich samych, jak ręce księcia Henryka.

— Cóż mam w takim razie czynić?

— Wyjechać — odparł krótko kanonik. — I to jak najprędzej — dodał patrząc malarzowi głęboko w oczy. — Za kilka dni będzie tędy szła karawana. Znam kupców. Umówię dla was miejsca na ich wozach. Kiedy wszystko będzie już z nimi ustalone, przyjdzie po was mój posłaniec i zaprowadzi was, gdzie trzeba. Nikt się nie zorientuje, że wyjechaliście z kupcami. A jeśli nawet, to będziecie wtedy daleko od zamku — powiedział kanonik starając się uspokoić przerażonego malarza. — Ale do tego czasu musicie mieć się na baczności. Nie wychodźcie nigdzie o zmroku. I pilnujcie chłopca. Nie puszczajcie go samego nawet na krok.

— Czekaj w celi. Zakazałem mu wychodzenia — wyznał mistrz Symeon.

— Rozsądna decyzja — pochwalił kanonik przezorność malarza. — A teraz zmieńmy temat rozmowy, idźmy przez dziedziniec i zachowujmy się tak, żeby wszyscy nas widzieli i słyszeli.

Wyszli pomiędzy drzew na otwartą przestrzeń. Szli powoli, rozprawiali z wielkim ożywieniem, zatrzymywali się co pewien czas i stojąc zwróceni do siebie twarzami, przekonywali się do swoich racji, gestykulowali rękami, kręcili głowami, wznosili błagalne spojrzenia w górę, zarzekali się, po czym rozeszli się sprawiając wrażenie mocno poróżnionych.

Mistrz Symeon wrócił do celi wstrząśnięty. Nie spał całą noc. Rozmyślał szukając w pamięci zdarzeń, w których zachował się wobec kogokolwiek na zamku nieuczciwie, niegodnie, skrzywdził go lub uraził. Analizował różne sytuacje dziesiątki razy, przywoływał twarze ludzi, ważył wypowiedziane publicznie słowa, lecz nie znajdował w nich najdrobniejszego nawet uchybienia ze swojej strony. Nie bał się o siebie. Bał się o Adalberta. Wyobrażenia nieustannie podsuwała mu drastyczne sceny, w których zakapturzeni oprawcy w okrutny sposób znęcali się nad chłopcem. Grozę sytuacji potęgowała jeszcze bezsenność, głucha cisza i ciemności, w których najłżejszy szmer sprowadzał na malarza nieopisaną trwogę.

Nad ranem z czujnego snu obudziło go delikatne pukanie w drzwi. Malarz zerwał się na równe nogi, potrząsnął Adalbertem, a gdy chłopiec otworzył oczy, przyłożył do warg wskazujący palec.

— Wstawaj, chłopcze — wyszeptał. — Czekają na nas.

**K**arawana opuściła podzamcze na krótko przed wschodem słońca.

Przed południem odłączyło od niej siedem wozów, zjechało z głównego traktu, utworzyło niewielką kolumnę i ruszyło na południowy wschód. Na czele kolumny jechał konno uzbrojony w krótki miecz pacholek, drugi zabezpieczał tyły karawany, po bokach szło dwóch pieszych wyposażonych w włócznie i lekkie łuki. Od czasu do czasu jeden z nich przysiadał na którymś z wozów, ucinał sobie pogawędkę z furmanem, po czym zsiadał z wozu, a jego miejsce zajmował drugi strażnik. Dwaj kupcy uzbrojeni byli w miecze, natomiast powożący i czterej parobcy, którzy pełnili w karawanie różne posługi, mieli zawsze pod ręką tęgie, sękaty kije.

Liczna, jak na rzeczywiste potrzeby, i dobrze uzbrojona straż odstraszała potencjalnych napastników. Karawana była praktycznie nieosiągalna dla zbójów i pospolitych rzezimieszków, a mimo to postępowano w niej tak, jakby zagrożenie istniało i napadu spodziewano się w każdej chwili. Podczas postoju wystawiano czujki, nocami w obozowisku palono ognie, przy których zbrojni trzymali wartę dopóty, dopóki ranem nie sformowano gotowej do drogi kolumny.

Suche lato sprzyjało podróżującym. Trakty były przejezdne, wody na wielkich rzekach płytkie, mniejsze zaś można było pokonać nie zamoczywszy nawet nóg. Długie, słoneczne dni sprawiały, że podróż stawała się krótsza a jej niedogodności mniej dokuczliwe i łatwiejsze do zniesienia.

Po kilku dniach karawana dotarła na płaskowyż pozostawiając za sobą najtrudniejszy i najbardziej niebezpieczny odcinek drogi. Wszyscy byli zadowoleni. Kupcy, którzy nie utracili żadnego ze swoich wozów, strażnicy, dla których skończyło się ustawiczne czuwanie nad tabo-

rem oraz ojciec Symeon czujący nieomylnie każdym zmysłem bliskość klasztoru, od którego dzieliło go nie więcej niż pół dnia drogi.

Kolumna wozów zatrzymała się nad rzeką. Zbliżała się noc. Słońce wisiało na horyzontem rzucając na ziemię długie cienie. Na pokonanie rzeki i rozbicie obozowiska na drugim brzegu przed zapadnięciem zmroku pozostało zbyt mało czasu, dlatego postanowiono założyć obóz po tej stronie rzeki, zaś jej przebycie odłożyć do jutra.

Ojciec Symeon poszedł z Adalbertem nad rzekę poszukać najodpowiedniejszego miejsca na jutrzejszą przeprawę. Chodzili powoli brzegiem rzeki, przyglądali się płynącej wodzie, malarz mówił, chłopiec milczał.

— Coś ciebie gnębi, chłopcze? — zapytał w końcu mistrz Symeon zaniepokojony dziwnym zachowaniem Adalberta.

— Nnnie — zaprzeczył chłopiec, zawahał się i natychmiast sprostował. — To znaczy, tak. Ja — zamilkł na chwilę i naraz wyrzucił z siebie jednym tchem — ja na was donosiłem.

— Wiem — powiedział malarz.

— Ojcu przełożonemu — dorzucił chłopiec patrząc na rzekę.

— To również nie jest dla mnie tajemnicą — odparł spokojnie malarz.

— Wiedzieliście o tym? — Adalbert poczerwieniał.

— Tak.

— Cały czas? — spytał z niedowierzaniem Adalbert.

— Tak, chłopcze — odpowiedział malarz.

— Wiedzieliście, że na was donoszę i wy mnie tak — Adalbert przełknął głośno ślinę — wy mnie tak, ojcie — przerwał i już nie dokończył.

Malarz milczał. Patrzył na zmieszanego chłopca zastanawiając się nad czymś głęboko, potem zapytał:



— Czy to samo, co teraz, chciałeś mi powiedzieć także w chacie rybaka?

— Tak, ojcie — przyznał Adalbert. — I wcześniej też. Na drodze, kiedy straciliście przytomność i potem także. Wiele razy. Ale nie miałem dość odwagi, żeby wam to wyznać.

Malarza ogarnęło wzruszenie. Chciał wyrzucić z siebie wszystko to, co uwierało go przez całe lata, doskwierało mu za dnia, bolało go nocami. Całą prawdę o swojej samotności. O potrzebie przyjaźni i miłości. O swoich złudzeniach i zawodach. O uprzedzeniach, niechęciach, podejrzliwościach, wiarołomstwach i zdradach. I o nadzwyczajnym szczęściu, którym został dzisiaj obdarowany przez opatrzność. Lecz nie potrafił wydobyć ze ściśniętego gardła nawet jednego słowa. Chwycił Adalberta za ramiona, pocałował chłopca w czoło i przygarnął go do siebie. Trwali tak złączeni w długim milczeniu. Mistrz i uczeń. Mężczyzna i chłopiec. Ojciec i syn. Dwa ciała i dwie bliskie sobie dusze.

— A czemu miałbym traktować ciebie inaczej — odezwał się malarz odsuwając od siebie chłopca. — Czy przekręcałeś rozmyślnie moje słowa, przeinaczałeś je, zmieniałeś, albo dodawałeś coś od siebie?

— Nigdy. Niczego. Nawet jednego słówka — odpowiedział chłopiec.

— Więc jakże mógłbym postąpić inaczej.

— Ja już nie będę, ojcie.

— Ale musisz, chłopcze.

Zapadła cisza, w której słychać było szum rzeki, rzenie koni, śpiew ptaków i niewyraźne, przytłumione głosy ludzi przygotowujących się w obozie do nocnego spoczynku.

— Będę kłamał — powiedział chłopiec.

— Będiesz grzeszył — odparł malarz.

— Będę kłamał w dobrej sprawie, ojcze — upierał się Adalbert.

— Kto kłamie, ten grzeszy — stwierdził malarz.

— Będę zmyślał.

— Na jedno wychodzi, chłopcze.

— Co mam począć?

— Wywiązać się z obowiązku, który na ciebie nałożono — powiedział malarz.

— Mam na was donosić? — spytał z niedowierzaniem Adalbert.

— Dlaczego mówisz, donosić — odparł z wyrzutem malarz. — Będziesz mówił prawdę. Będziesz opowiadał o tym, co widziały twoje oczy i co słyszały twoje uszy. Czy opowiadanie o tym, co widzieliśmy na własne oczy, jest donoszeniem? — malarz odsunął od siebie Adalberta, oparł dłonie na ramionach chłopca i patrzył mu w oczy.

— Tak, ojcze, ale?...

— Czy ty, chłopcze, rozumiesz, o co ciebie zapytałem? — malarz nie odrywał wzroku od Adalberta.

— Tak, ale...

— Od początku do końca? — malarz nie pozwolił chłopcu dojść do słowa.

— Oczywiście, tylko...

— Nie mów mi o swoich domysłach opartych na odczuciach — zastrzegł malarz. — Mnie one nic, ale to nic, nie obchodzą. Czy teraz mnie rozumiesz? — zapytał jeszcze raz.

Adalbert skinął głową.

— W takim razie, wracajmy — ojciec Symeon spojrział na rzekę, potem na ciemniejące niebo, otoczył chłopca ramieniem i poprowadził go do obozu.

Po cieplej, spokojnej nocy wstał pogodny dzień.

Przeprawa przez rzekę przebiegła bardzo sprawnie. Woda w niej była płytka, nurt powolny, dno płaskie, prawie równe, miejscami tylko poznaczone w poprzek drobnymi skalnymi uskokami, które dla wozów nie stanowiły żadnej przeszkody. Wczesnym rankiem wozy i ludzie byli na drugim brzegu rzeki, sformowano konwój i wozy ruszyły w drogę. Cel ich podróży był jeszcze bardzo odległy.

Przed południem kolumna pokonała dolinę i dotarła do niewielkich wzniesień. Porośnięte gęstym lasem nie wzbudzały wśród jadących większego zainteresowania. Karawana posuwała się między zielonymi pagórkami. Wozy omijały je raz bliżej, to znowu dalej, w końcu pozostawiły je za sobą i wjechały na rozległą równinę. Roztaczał się z niej widok na kilka niewielkich wzniesień, tym razem prawie nagich lub skąpo porośniętych roślinnością, rzadziej kępami drzew, a jeśli już, to uporządkowanymi ludzką ręką. Na jednym z nich, najwyższym, ale i najbardziej płaskim, wznosił się klasztor. Do jadących na wozach ludzi dotarł głos dzwonu. Jego dźwięczny, czysty ton niósł się w powietrzu, oplatał wzgórze, płynął nad doliną coraz dalej i dalej, czasem powracał odbity podwójnym echem, słabym, trudnym do wyłowienia w powodzi ptasich śpiewów, gwizdów i wywodzonych przez nich treli.

— Jesteśmy, chłopcze! — zawołał ojciec Symeon i nie czekając, aż wóz, którym jechał, zatrzyma się, zsunął się z niego na ziemię.

Kolumna stanęła, ludzie zwrócili się w stronę wzgórze i zastygli w bezruchu. Ten i ów na wozie przeżegnał się, po czym z ust prowadzącego karawanę padła komenda – w drogę, i kawalkada wozów ruszyła dalej ze skrzypieniem uprząży, klekotem kół, parszaniem koni i pokrzykiwaniami furmanów.

Zakonnicy patrzyli w milczeniu za odjeżdżającą karawaną. Kiedy ostatni z wozów zniknął za zakrętem drogi, zarzucili na ramiona sakwy i ruszyli do klasztoru.